NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 15 października 1904 r. Nr. 3.

Aresztowanie kapitana rosyjskiej straży pogranicznej.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



POWIEŚĆ.

2 (Ciąg dalszy).

W wielkiej sali, tworzącej sień obszerną, udekorowaną wspaniale, kobieta zwróciła się ku drzwiom parterowym na lewo, wiodącym do jej wytwornego budoaru, i znikła za niemi szybko, zatrzaskując je za sobą z widocznym gniewem; mąż jej zaś, hrabia Jelski, przeszedłszy wszerz przedsionek, wstępować zaczął powoli na pierwsze piętro po stopniach schodów, pokrytych puszystym, bogatym kobiercem.

Udajmy się do budoaru za hrabiną.

Młoda i ładna, pochodziła ona ze zrujnowanego dziś, a niegdyś bogatego mieszczańsko-bankierskiego gniazda, skoligaconego i spowinowaconego nawet ze znanemi w kraju szlacheckimi rodzinami. Wyszła za znacznie od siebie starszego hrabiego, bo była ubogą, bez posagu, a nadto na jej przeszłości panieńskiej ciężyła tajemnica, nikomu — jak mniemała — prócz Jelskiemu nie znana. Wychowana modnie, bez cienia zasad religijnych, z których wolnomyślni jej rodzice naigrawali się nieraz w jej obecności, śmiała i swobodna w ruchach istotnie, mało co robiła sobie z opinii wyższego świata, do którego należała i w którym zachwycała wszystkich czarem swej niepospolitej piękności.

Twarz jej śniadą, o rysach nieco semickich, o płomiennych czarnych oczach. iskrzących się jak brylanty, okalały bujne sploty, prześlicznych rudych włosów. Ubierała się z niezwykłym smakiem, a mężczyźni upojeni jej wdziękami i urokiem, jaki w około siebie roztaczała, szaleli za nią, gotowi za jeden życzliwy uśmiech czarodziejki, za jedno zalotne słówko bez głębszego znaczenia, a na wiatr od niechcenia rzucone, ginąć dla niej, wskakiwać do wody lub w gorejące ogniska.

Męża nienawidziła zawsze, a od lat kilku żyła z nim w nieustannej niezgodzie. Kochała innego — młodego adwokata, ślicznego dwudziestosześcioletniego chłopca, lecz stosunek jej z nim był prawie przyzwoity, a przynajmniej poprawny i zupełnie platoniczny. Przekonaną była, że hrabia stary, słabowity i już w młodości zniszczony nadużyciami i rozpustą, lada chwila umrzeć musi, a wtedy ona — korzystając ze znacznych dochodów, jakie nieboszczyk jej przekaże — odda umiłowanemu serce i rękę. Na śmierć męża oczekiwała z gorączkową niecierpliwością, kłócąc się z nim o byle co niemal codziennie. Głębszy jednak, a ukrywany powód, wywoływał te niesnaski.

I teraz, po wcale gwałtownej sprzeczce w powozie, wróciwszy do siebie, zrzuciła z ramion pospiesznie okrycie i rozdrażniona, nieukontentowana, upadła na sofę. Powoli... powoli myśli Marceliny zwracać się zaczęły ku jedynemu przedmiotowi jej pragnień i miłości, ku temu, na którego dziś oczekiwała, a który spóźniał się i nie przychodził.

Nagle przy zasłaniającej drzwi kotarze ukazał się służący.

— Pan Kazimierz Molski — zaanonsował.

— Prosić! — zawołała.

Służący usunął się na bok i wpuścił do budoaru wytwornie ubranego młodzieńca, sam zaś zniknął za drzwiami.

— Nareszcie! — krzyknęła Marcelina, wyciągając do Kazimierza drobne rączki, które on gorąco ucałował. — Miałam nadzieję spotkać się z panem w Łazienkach. Mąż mój. który mówiąc nawiasem przepada za panem, nairytował się z tego powodu niemało, spodziewał się bowiem, że razem odbędziecie pieszą przechadzkę w około stawu.

To mówiąc, patrzyła pełnym namiętności wzrokiem w twarz młodego człowieka przed nią stojącego.

Kazimierz, jak już powiedzieliśmy, był ładnym chłopcem, o przyjemnej i ujmującej powierzchowności. W samą miarę wysoki, kształtnie zbudowany, porusza! się z wielką elegancyą. Głos jego brzmiał dźwięcznie. Karminowe wargi, szepcące wdzięcznie wyznania miłosne, ocieniał mu czarny, pokrętny wąsik. Wychowała go matka — zacna i poważna matrona — w surowych zasadach moralności, dlatego też skarbów serca nie roztrwonił przedwcześnie. Uczucia jego nosiły na sobie cechę idealnej świeżości. Lecz charakter miał słaby i łatwo ulegał wpływom otoczenia.

Po pięcioletnich studyach na wydziale prawnym, ukończył uniwersytet warszawski ze stopniem kandydata i zamianowany został adwokatem przysięgłym.

. . . .

— Dopiero wpół do szóstej — rzekła hrabina, spoglądając na zegarek. — Do siódmej zatem pozostaniemy sami. Mąż mój prawdopodobnie nie zejdzie tu na dół do swego gabinetu...

I po chwili dodała ze smutkiem.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo dba obecnie o swoje zdrowie, jak się pielęgnuje i pieści. Gotów żyć lat sto... Ach, jakże długo czekać musimy na chwilę — powiedziała z naiwnym, wrodzonym sobie cynizmem — w której wolno nam będzie kochać się swobodnie i połączyć ręce nasze na zawsze przed ołtarzem!...

— Kto wie? — odparł Kazimierz — przeznaczenie bawi się nieraz w niespodzianki. Nie powinniśmy więc, ani wątpić, ani rozpaczać... Zresztą najdroższa, pełni ufności w wzajemną miłość naszą, czyż nie jesteśmy już szczęśliwi? Ja cię ubóstwiam...

— I ja cię kocham całą duszą, całem sercem... lecz pragnę jak najprędzej być wolną, żeby ci się oddać bez lęku i wszelkich zastrzeżeń. O! pan tego nie rozumiesz... bo żyjesz chwilą bieżącą i nie myślisz o przyszłości. A przytem nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo nienawidzę mego męża, jaki doń wstręt uczuwam!.. Między tym ohydnym człowiekiem a mną leży tajemnica... która mnie dławi i przygniata mi piersi okropnym ciężarem...

Kazimierz spojrzał na nią prawie przerażony.

— Czemuż, Marcelino moja, nie zwierzysz się przedemną?... Widocznie nie kochasz mnie tak mocno, jak ja ciebie kocham, jeśli możesz sekret jakiś przedemną ukrywać... Opowiedziałem ci szczerze historyę mego życia, nic nie zamilczając... Znasz moją przeszłość... i każdą myśl niemal, rodzącą się pod czołem... bo każda myśl moja jest twoją wyłączną własnością... do ciebie tylko należy... Skarbie mój! na kolanach cię błagam, wyjaw mi przyczynę swoich udręczeń. Oddawna już widzę, że coś cię martwi i gryzie, o czem ze mną nigdy mówić nie chcesz...

— Bo nie mogę! nie mogę!... Powiem ci tylko raz jeszcze, że go nie cierpię, że się nim brzydzę, że pragnę zemścić się nad nim. Już dziesięć lat żyję samą prawie nienawiścią, ukrywając ją na dnie serca... To też serce moje od niej usycha. Żądza zemsty niszczy w niem wszystko, co było dobrem i szlachetnem...

— Marcelino!

— O!... ty, który jesteś rzeczywiście dobry i szlachetny, jakżebyś się oburzył, gdybyś wiedział jak wiele przez tego człowieka wycierpiałam... Zdeptał mnie bez litości... Chciałbyś może, żebym ja nad nim się ulitowała?! Nigdy! Niema litości dla takiego nędznika!

Czoło Kazimierza pokryła chmura posępna. Zakrył dłonią oczy i rzekł tonem poważnym:

— Tak gwałtowna nienawiść wiedzie często do zbrodni.

Marcelina otarła zarumienione lica, na których perlił się pot w drobnych kropelkach.

— Och! gdyby umarł, jakże bylibyśmy szczęśliwi!... Mogłabym wtedy nareszcie wyznać ci moją tajemnicę, która mnie strasznie udręcza... i zabija. Ale uspokój się... uspokój! Widzę w twoich oczach, że nie podzielasz mego gniewu, ani oburzenia... Czekajmy więc... Ha! hrabia Jelski ciebie i mnie przeżyje!...

Gdy wymawiała ostatnie wyrazy rozległ się w sąsiednim pokoju jakiś odgłos, podobny do skrzypnięcia drzwi nagle otworzonych i zaraz potem zamkniętych. Hrabina powstała z siedzenia, uniosła nieco kotarę, zasłaniającą podwoje, prowadzące do gabinetu męża — i czas jakiś słuchała ciekawie. Poczem rzekła niemal spokojnie:

— To ktoś widocznie przyszedł do niego w jakimś interesie, możemy więc rozmawiać dalej o czemś milszem... o czemś, co nas tylko obchodzi.

Podała Kazimierzowi obie ręce, które on obsypywał namiętnymi pocałunkami. A gdy milcząc pogrążyli się w bezwiednem upojeniu miłosnem, odrywającem ich dusze od powszedniej rzeczywistości, tuż obok, w gabinecie Jelskiego, rozpoczął się dramat, wywrzeć mający groźny wpływ na losy bohaterów naszego opowiadania.

. . . .

Jelski i Żarski stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

Ostatni przyszedł spełnić żądanie matki; wzruszony jednak do głębi, nie śmiał słowa przemówić. Upłynęła dość długa chwila, w ciągu której oba milczeli.

— Czego pan żądasz odemnie? — rzekł nareszcie hrabia. Przybywasz prawdopodobnie w bardzo ważnym interesie, jeśli tu wejść zdołałeś, pomimo rozkazu, jaki wydałem służbie, nie wpuszcza nia dziś do mnie nikogo. Za chwilę, siądę do obiadu, mam więc nie wiele czasu do wysłuchania pana.

Marcin, drżącą ręką postawił kapelusz na posadzce, rozpiął okrycie, wyjął z zanadrza list matki i podał go starcowi.

— Prośba?! — powiedział hrabia, marszcząc brwi — prośba o wsparcie?! Wszak tak?... Dlaczego nie doręczyłeś jej pan memu marszałkowi dworu, byłby mi ją wraz z innemi przedłożył, a pan uniknąłbyś przykrości i trudu fatygowania się aż tutaj.

I to mówiąc rzucił z pogardą list na stół, nie otwierając koperty.

— Proszę... chciej, panie hrabio, z łaski swojej list przeczytać — rzekł jąkając się młody lekarz.

— Któż mi go przysyła? — zapytał Jelski. — Zresztą, nie pojmuję dlaczego pan nie wymieniłeś dotąd swojego nazwiska, i z uporem, który mnie w podziw wprawia, pozostajesz tu jeszcze, chociaż cię o to nie prosiłem.

— Jeśli pan chce się dowiedzieć kto ten list przysyła, racz go przeczytać! Co zaś do mego nazwiska — tu zbladł bardzo i zadrżał znowu — zowię się Marcin Żarski. Jestem synem Janiny Żarskiej... i twoim panie hrabio.

Jelski przymknął oczy i stał milcząc czas jakiś nieruchomy, jakby skamieniały.

Potem siadł przy biurku, rozdarł kopertę i przy świetle lampy zaczął czytać list półgłosem:

Panie Hrabio!

„Ośmielam się mniemać, że przypomnisz sobie przywiązanie, jakie nas niegdyś łączyło. Dlatego też, znając dobroć twego serca, nie waham się upraszać cię o litość, nie nademną, lecz nad żoną syna mojego, chorą na suchoty, oraz nad jego dziećmi, dwoma prześlicznemi dziewczynkami, błagającemi wraz ze mną o pomoc i pokładającemi w tobie ostatnią nadzieję. Syn mój, doktor Żarski, opowie, oddając ci mój list, w jak straszną popadliśmy nędzę. Janina Żarska."

Silne wzruszenie owładnęło widocznie starcem, bo położywszy list na biurku, powstał z krzesła i zaczął przechadzać się zamyślony wzdłuż i wszerz pokoju. Tak upłynęło kilka minut. Nareszcie zapanował nad sobą, zatrzymał się i rzekł, zwracając się do Marcina:

— Stosunek mój z matką pańską zerwał się już od dawna. Na przebieg mego życia nie wywarł on najmniejszego wpływu. Kochałem ją wprawdzie, nic jednak nie upoważniało jej do przysłania pana do mnie z tym listem. Pismo to, uważam za dowód chęci wyzyskania mnie. A może namówiła pana do zrobienia mi awantury? Ależ to istne szaleństwo? Jestem u siebie i nikogo się nie lękam. Czy pan rozumie?... nikogo. Co zaś do pana samego, nie zastanowiłeś się prawdopodobnie, jak rola, której się podjąłeś, jest poprostu bezecną. Chciej wierzyć przytem, że zawiodłeś się ogromnie, jeśli sądziłeś, że mnie przestraszysz, lub zaniepokoisz, stając przedemną, jako domniemany syn Janiny Żarskiej i hrabiego Jelskiego...

— Panie!

— Niczem nie jesteś pan dla mnie. Syn Janiny Żarskiej nie jest moim synem... Nigdy nie miałem dziecka z tą kobietą. A zresztą, czyż ona sama może wiedzieć kto jest pańskim ojcem? Wprawiłoby ją w niemały kłopot, gdyby musiała wskazać ojca swojego dziecka, bo w chwili, gdy miałem przyjemność poznać matkę pańską, byłem już tylko następcą innych jej kochanków.

— Kłamiesz! kłamiesz! — zawołał Marcin, — Powiedz, żeś skłamał bezczelnie! Nie wiem co uczynię, chociaż nie chcę cię skrzywdzić... czuję jednak, że mogę dopuścić się gwałtu, bo krew gorącym strumieniem bije mi do głowy. Przyszedłem tu, znaglony moralnym przymusem, wbrew mojej woli, a pan tego nie zrozumiałeś! Każdem słowem starałeś się mnie obrazić i do wściekłości doprowadzić. Obwiniłeś nas o chęć wyzysku, ależ gdybyś mi teraz dawał wory złota, odepchnąłbym je z pogardą i wstrętem. Jak ostatni infamis zbezcześciłeś moją matkę!... Na szczęście, pewny jestem, że kłamiesz! Pomimo upadku, do którego pan ją popchnąłeś, była zawsze kobietą zacną i szlachetną, gdy pan, chociaż hrabia i milioner, jesteś tylko pospolitym łajdakiem. Bez litości, bez wyrzutów sumienia, shańbiłeś i sponiewierałeś uczciwą dziewczynę, biedną robotnicę... a gdy została matką, porzuciłeś ją podle, wraz z dzieckiem, żeby gonić za nowemi miłostkami.

Gdy ofiara twoja zabijała się pracą po nocach, żeby zrobić ze mnie człowieka użytecznego społeczeństwu, co pan wówczas czyniłeś? Upijałeś się w gronie ladacznic i nicponiów, sypiąc w około pieniądzmi, odziedziczonymi po przodkach, którzy w grobach swoich przewróciliby się niezawodnie, gdyby widzieć mogli, jakim stałeś się nikczemnikiem.

Marcin, zmożony nagłym wybuchem gniewu, nad którym nie mógł zapanować, stał teraz niemy i nieruchomy. Hrabia, nie zdając sobie sprawy z jego bezwładności i milczenia, wziął je za podstęp, za oczekiwanie na jałmużnę. Uspokojony już więc zupełnie, chłodny jak posąg z marmuru, zaczął cedzić dziwnie złośliwym tonem wyraz po wyrazie: Nie znam pana! Nie jesteś moim synem, cóż więc cię upoważnia do wyprawiania tu skandali? Jakim zresztą prawem powołujesz się na waszą nędzę? Wszakże matka pańska nazywa cię w swoim liście doktorem, masz zatem możność zarobić na utrzymanie rodziny. O, doprawdy! wydajesz mi się bardzo naiwnym, domagając się odemnie pieniędzy na swoje drobne wydatki.

— Nikczemniku!

— Radzę być ostrożnym, bo lokajom moim każę cię za drzwi wyrzucić.

— Łotrze!

— No, no, jeśli tak panu bardzo chodzi o monetę, to chciej mi powiedzieć, wiele potrzebujesz? Oznacz sam cenę za łaskawe względy, jakimi matka pańska obdarzała mnie niegdyś. Jakkolwiek działo się to trzydzieści pięć lat temu, wiem co się szlachciance należy, bo matka pańska chociaż robotnica, jest szlachcianką. Nie myślę zasłaniać się przedawnieniem... targować się nie będę.

— Podły! — wrzasnął Marcin, rzucając się na hrabiego — ach, gadzino! ośmielasz się lżyć moją matkę! — To mówiąc, powalił starca na poręczowe krzesło, stojące przy biurku. — Życiem zapłacisz mi za obelgi! Rozumiesz? życiem! Ręce mi drżą wprawdzie, wydrę ci jednak niemi serce z piersi... ty, nikczemniku!

Hrabia, leżący na krześle, blady z przestrachu, nie bronił się, nie krzyknął nawet — Żarski zaś, wytrzeźwiony nagle myślą, która jak błyskawica przez mózg mu przeleciała, że w uniesieniu gotów zamordować ojca, wybiegł bez kapelusza z pokoju...

Podwoje od buduaru skrzypnęły; uniesiona w górę kotara zaszeleściała i spadła... Przed nią stała Marcelina z Kazimierzem. Powoli... powoli zbliżała się do męża, który charczał i chrapał. W ogromnie rozszerzonych źrenicach Jelskiego malowała się straszliwa obawa.

— Powietrza! powietrza! — bełkotał, zrywając bezwiednie krawat z szyi — powietrza!... duszę się... dławię...

— Wszystko słyszałam — rzekła hrabina — i pan Kazimierz także. Byliśmy oboje świadkami całej sceny. Tak, tak... Słyszałam i ulitowałam się nad biedakiem, którego stąd wygnałeś. O, panie hrabio! jesteś w rzeczy samej wielkim zbrodniarzem! Czy sądzisz, że czas byłoby się poprawić, jeśli pragniesz uniknąć zasłużonej kary?



... Podły! — wrzasnął Marcin, rzucając się na hrabiego...

Ale Jelski jej nie słyszał.

Z głową przez poręcz zwieszoną krztusił się i jęczał. Twarz jego, zaczerwieniona od udaru apoplektycznego, pokryła się krwią z ust mu buchającą.

— Już po mnie... umieram... szeptał niewyraźnie — ten człowiek... to nożownik... chciał mnie zamordować... Nóż błyszczący widziałem w jego ręku... Każcie go schwytać... zawlec do więzienia...

Twarz starego rozpustnika stawała się fioletową. Zdawało mu się, że silne dłonie ściskają mu gardło.

— Oddychać chcę... powietrza! powietrza!...

Marcelina wyjęła z kieszonki flaszeczkę z eterem i podsunęła mu ją do powąchania.

Wtedy hrabiemu zrobiło się nagle lepiej. Otworzył oczy, a lica jego dotąd czerwone, jak u upiora, raptem zbladły.

— O, mój Boże! — westchnął — zdawało mi się... że umieram...

— Czuwałam nad tobą — rzekła Marcelina — czuwałam zaś dlatego, że nie chcę, abyś umarł, nie załatwiwszy ze mną rachunków...

Jelski, opierając się na poręczy krzesła, podniósł się nieco z wielką trudnością i drżący, spojrzał żonie w oczy.

Wtedy hrabina zwróciła się do Molskiego, przemawiając do niego słodkim głosem:

— Zbliż się panie Kazimierzu... Mąż mój odsłoni ci tajemnicę, którą od tak dawna przed tobą ukrywałam. Dotąd, na samą myśl, że wszystko wyznać ci muszę, cierpłam ze wstydu i lęku, lecz teraz, gdy wiem, że mnie ubóstwiasz i litujesz się nademną, chcę, żebyś się całej prawdy dowiedział...

Hrabia, nagle jak trup zsiniały, stanął na chwilę przed krzesłem, mierząc Molskiego groźnym wzrokiem. Ale siły wnet go opuściły i runął znowu na krzesło.

— Tak — mówiła dalej Marcelina z gorzką ironią. — Kazimierz musi dowiedzieć się o wszystkiem, bo już od bardzo dawna jest moim kochankiem...

— To nieprawda! — krzyknął młodzieniec, a głos jego dźwięczał szczerością.

— Nie zaprzeczaj! Na co? On ci nie uwierzy, bo wie, że w naszym świecie żony niemal zawsze zdradzają mężów, bo sam przecie nieledwie popychał cię w moje objęcia, bo zamykał oczy, gdyśmy wieczorem pozostawali sami, bo chciał moim upadkiem okupić własną swobodę i pieniądzmi sypanemi, na prawo i lewo, zdobywać serduszka biednych dziewcząt, pozbawionych wszelkiej opieki i obrony...

— Podła!... podła!... — wykrztusił z trudnością Jelski, a twarz jego oblewała się znowu ponsem.

— Jak sądzę, godziny życia twego już są policzone. Nie doczekasz wschodu słońca. Lecz nie chcę, żebyś rozstał się z tym światem, zanim wyznasz, coś uczynił z najdroższą mi istotą; nie pozwolę, byś umarł i nie wymienił miejsca, w którem ją ukryłeś... Tej tajemnicy nie dam ci unieść z sobą do grobu...

— Niczego się nie dowiesz! — syknął hrabia.

— Zdawało mi się przez chwilę, że twój syn chce cię udusić, więc przybiegłam, żeby cię obronić, bo życie twoje jest moją wyłączną własnością... Musisz mówić!... Mów śmiało w obecności Kazimierza. On cię wysłucha bez gniewu i nie odepchnie mnie, bo wyczytałam w jego oczach, że mi przebaczy... Ach, gdybyś ty wiedział, jak my się kochamy!

I pozornie spokojnym głosem mówiła dalej:

— Musisz mi wynagrodzić wszystkie doznane udręczenia i łzy, jakie przelałam, bo płakałam często. Ty wiesz o tem najlepiej, boś mnie nieraz widywał płaczącą... Byłam ubogą sierotą, gdyś mnie poślubił. Uważałam cię za człowieka szlachetnego, więc młodość moją złożyłam ci w ofierze. Nie oszukałam cię... wychodząc za ciebie, opowiedziałam ci wszystko. Przyznałam się, że kochałam młodego oficera, który zginął w pojedynku. Pojechaliśmy razem na wieś. Tam pokazałam ci mego synka, wychowującego się u chłopki, która go wykarmiła i wypiastowała. A ty powtarzałeś ciągle: „Dziecko twoje stanie się mojem dzieckiem; kochać je będę, jak ojciec i zapewnię mu dostatnią przyszłość".

Starzec nie zaprzeczał.

Oparł głowę o tylną poręcz krzesła i dyszał ciężko. Na czoło wystąpiły mu czerwone plamy, a koło ust — nieotarta dotąd krew spływała na koszulę i kamizelkę.

Marcelina rzekła znowu:

— Uwierzyłam, że pokochasz moje biedne niemowlę... a wdzięczna ci za to, oddałam ci się całem ciałem, całą duszą. Stałam się żoną twoją... niemal sługą. Długo... bardzo długo nie znałam innej woli, prócz twojej... spełniałam każde twe żądanie... nawet przelotne zachcenia twoje były dla mnie rozkazami... aż do dnia, w którym poznałam nareszcie, jak jesteś podłym... aż do dnia, w którym wydarłeś mi syna...

— Był on żyjącym dowodem twojej hańby... miałem prawo z wspólnej nam drogi życia go usunąć... D. c. n.

Aresztowanie kapitana rosyjskiej straży pogranicznej.

(Do illustracyi na stronie tytułowej).

Dezercya wśród szeregów rosyjskich wojsk szerzy się jak dżuma i obejmuje coraz szersze koła militarnego ustroju Rosyi. Gdy do niedawna jeszcze dezerterzy rekrutowali się jedynie z pułków liniowych, przeznaczonych do wyruszenia na daleki Wschód, obecnie nawet wśród pogranicznej straży zdarzają się częste wypadki ucieczek z pod sztandaru.

Oficerowie formalnie głowę tracą, bo niema prawie dnia, aby przy apelu nie brakło im któregoś z podwładnych. To też taki stan rzeczy doprowadza ich do rozpaczy i skłania do takich kroków, na jakie kiedyindziej nigdyby się przecież nie odważyli...

O niestosowny krok w takiem zacietrzewieniu bardzo łatwo, jak to widać z wypadku, który się zdarzył kapitanowi Malinowskiemu, komendantowi straży pogranicznej w Modrzejowie.

Gdy w ubiegłym tygodniu umknął za granicę z posterunku jeden z szeregowców, kapitan Malinowski postanowił bądź co bądź dostać zbiega w swe ręce.

Głuche wieści krążyły na pasie granicznym, że dezerter ukrył się w wiosce Dąbrowie, położonej na terytoryum austryackiem. Kapitan Malinowski, dowiedziawszy się o tem, bez namysłu udał się przez granicę pruską, zwaną „kątem trójcesarskim“ do Galicyi i przybył do Dąbrowy.

Tu udał się wprost do wójta i zażądał wydania oraz pomocy w aresztowaniu zbiega. Nieoświecony i niemający najmniejszego pojęcia o prawach międzynarodowych chłop, któremu zaimponował kapitański mundur, usłuchał rozkazu p. Malinowskiego, a kiedy odszukano wreszcie dezertera, wójt sam pomagał wiązać go, bo schwytany, wiedząc, jaka kara go czeka, stawiał zacięty opór. Związanego uciekiniera włożono na wóz, na który wsiadł także wraz z wójtem kapitan Malinowski i — pochód ruszył ku granicy rosyjskiej.

Dotychczas wszystko szło bardzo składnie, ale niebawem uśmiechnęła się słodko zmienna fortuna do dezertera.

Niedaleko bowiem od granicy, psotne licho nadniosło austryackiego żandarma, który powracał z patrolu.

Ten, obeznany z prawami granicznemi, odrazu zrozumiał, jakie się tu dzieje nadużycie i przy pomocy argumentu, zwanego karabinem Manlichera, zmusił kapitana Malinowskiego do oddania mu szabli i przyaresztował całe towarzystwo ku wielkiej radości dezertera, a całkiem zrozumiałemu smutkowi kapitana i wójta, którego nie minie odpowiedzialność sądowa.

Teraz cały konwój pod czułą opieką żandarma wyruszył do Chrzanowa, gdzie żandarm wszystkich trzech aresztowanych oddał w ręce tamecznej władzy politycznej.

Nasza rycina przedstawia chwilę, w której austryacki żandarm aresztuje kapitana Malinowskiego wraz z wójtem i przyłapan ym dezerterem.



Z wyst. rolniczej w Czerniowcach. Fot. Krzanowski, Czerniowce. Okazy z dóbr p. Bohdanowicza.



Z wyst. rolniczej w Czerniowcach. Fot. Krzanowski, Czerniowce. Okazy z dóbr p. Brodowskiego.

Z wystawy rolniczej w Czerniowcach.

Staraniem Towarzystwa rolniczego „Bukowina“ została w niedzielę dnia 2 b. m. o godzinie 12 w południe otwartą w salach Towarzystwa strzeleckiego wystawa rolnicza, owoców, warzyw, kwiatów i drobiu.

W uroczystości otwarcia wzięli udział: prezydent krajowy ks. Hohenlohe, arcybiskup ks. Repta, zastępca marszałka krajowego prof. uniwersytetu dr. Smal-Stocki, wiceprezydent miasta dr. Reiss, posłowie do Rady państwa dr. Halban i dr. Straucher, starosta Würfel, naczelnik kierownictwa ruchu sekretarz ministeryalny dr. Hnidey, naczelnik oddziału komercyalnego kierownictwa ruchu dr. Rösler, członkowie komitetu wystawowego Kazimierz Bohdanowicz, Romuald br. Szymonowicz, Jul. Singer i reprezentanci prasy.

Po przemówieniu prezesa komitetu wystawowego p. Kazimierza Bohdanowicza, dokonał prezydent krajowy ks. Hohenlohe otwarcia wystawy. Cały kompleks wystawy składa się z pięciu grup, a każda z nich mieści się w osobnym pawilonie.

Przed halą strzelecką wystawione są maszyny rolnicze, najnowszej konstrukcyi, jak wszelkiego rodzaju pługi, brony, spulchniacze i kultywatory do uprawy roli i łąk, maszyny do kopania kartofli i buraków, kieraty, sieczkarnie, młynki, wialnie i sortowniki do zboża i kartofli, siekacze i wiele innych przyrządów rolniczych.

Dom dla ziemian umieścił maszyny rolnicze ogromnych rozmiarów we własnym powilonie.

Atrakcyą całej wystawy jest dział wystawny owoców, jarzyn, nasion i kwiatów, który mieści się w pięknie udekorowanym pawilonie Towarzystwa strzeleckiego.

Wystawa ta tem się różni od innych, że występuje na niej wystawca z rozmaitemi odmianami warzyw i owoców.

Wystawa ta będzie niejako instrukcyą dla hodowców, które odmiany należy u nas specyalnie pielęgnować.

A trzeba przyznać, że niektóre okazy kalafioru, kapusty, buraków i owoców są bardzo piękne.

Tu gęsto się rozsiedli wystawcy, wśród których pierwsze miejsce zajęli: Kazimierz Bohdanowicz, Feliks Passakas, Brodowski, Teodor Flondor i Józef Fischer.

W końcu nadmienić wypada, że nas szczerze cieszy reprezentacya polska w komitecie wystawowym, i że i na tem polu Polacy nie pozostają za innymi, a przeciwnie przodują innym żywiołom.

Tyle na dziś z wystawy rolniczej, do której powrócimy jeszcze w przyszłym numerze.



Z wystawy rolniczej w Czerniowcach: Komitet wystawy. Fot. Krzanowski, Czerniowce.

Autorowi „Karpackich górali“ miasto Brody.

Kiedy w Berlinie sławna a raczej osławiona *die Siegesallee* głosi światu tryumf głupoty, pasując na bohaterów i wielkości narodowe ludzi, których przeszłość i działalność albo napełnia każdego uczciwego wstrętem, albo których nazwiska nawet fachowym historykom nie przypominają nic innego, jak tylko jeneralskie szlify i mniej więcej zdatny głos do komendy — w naszym kraju zbyt mało mamy pomników, nie umiemy wprost zdobyć się na uczczenie prawdziwie sławnych i zasłużonych jednostek, które całe swe życie i wszystkie siły oddały na pożytek ojczyzny.

To też w pierwszej linii bierzemy sobie za obowiązek zawsze powiadomić społeczeństwo o każdym nowym takim nabytku, lub też przypomnieć mu, gdzie biały złom marmuru, czy też siwego pia-

skowca, lub bryła bronzu, obrobiona ręką rzeźbiarza, składa hołd pamięci i zasłudze geniuszów lub bohaterów!

Autor „Karpackich górali“, jeden z najwybitniejszych literatów polskich — rzec można — pierwszy twórca powieści i dramatu polskiego, dopiero w stuletnią rocznicę swych urodzin, gdy ciało jego dawno się już w proch obróciło, nakoniec doczekał się tego hołdu — pierwszego pomnika na ziemi ojczystej.

A uczciło go tym pomnikiem sześć lat temu miasto Brody, to miasto, w którem po raz pierwszy ujrzał światło dzienne, które go wypiastowało, gdzie uczęszczał do szkół i stawiał pierwsze kroki zanim później iskra talentu, jaka od dziecka tliła w jego duszy, wybuchła jasnym, wielkim płomieniem...

Pomnik ten, wznoszący się na tle ogrodu miejskiego, znanego pod nazwą Rojekówki, na zbiegu dwóch ulic: ulicy Sobieskiego i ulicy Korzeniowskiego, którą ongi sławny powieściopisarz jako małe dziecko spieszył do szkółki ze Starych Brodów, gdzie się urodził — wyszedł z pod dłuta znanego artysty-rzeźbiarza p. Antoniego Popiela, którego kołyską były także Brody.

A z jubileuszu Korzeniowskiego mają Brody jeszcze jedną pamiątkę. Oto dnia 21 lipca 1897 przed skromnym dworkiem w tak zwanych Starych Brodach, w którym przyszedł na świat autor „Spekulanta“, odsłonięto tablicę pamiątkową z następującym napisem:

„Miejsce urodzenia Józefa Korzeniowskiego, polskiego powieściopisarza i dramaturga, urodzonego dnia 19 marca 1897 — uroczyście zaznacza galicyjskie Towarzystwo pedagogiczne dnia 21 lipca 1879 roku“.

I innych pamiątek po niezapomnianym pisarzu jest w Brodach pod dostatkiem. W ludowej szkółce brodzkiej dyrektor p. Kapłoński z czcią i pietyzmem przechowuje do dziś dnia świadectwa i katalogi wielkiego pisarza.

Dotychczas żadne miasto, nawet bogaty i potężny Lwów, nie zdobyło się na uczczenie autora „Karpackich górali“, więc też obywatelstwu brodzkiemu słusznie należy się wdzięczność za to, że ono przynajmniej nie zapomniało o geniuszu, który wyszedł z jego łona.



Nowa szkoła ludowa w Podgórzu: Gmach nowej szkoły przy ul. Lwowskiej z widokiem na Krzemionki.

Nowa szkoła ludowa w Podgórzu.

Tuż u stóp potężnych złomów skalnych, ochrzczonych nazwą Krzemionek przy ul. Lwowskiej w Podgórzu, o jakie paręset kroków od wału fortyfikacyjnego, wznosi się nowy gmach szkoły ludowej miejskiej.

Brak szkół ludowych w Podgórzu dawał się odczuwać ludności dotkliwie, a i teraz jeszcze odczuwać się daje, to też może jedną z największych zasług, jakie obecny zarząd gminny Podgórza z burmistrzem p. Franciszkiem Maryewskim na czele położył koło rozwoju miasta, jest doprowadzenie do skutku tej budowy i oddanie jej na użytek publiczny.

Gdy na posiedzeniu rady gminnej zapadła nakoniec uchwała co do budowy tej szkoły, gdy architekt p. Zygmunt Lux przedłożył plany i kosztorysy, gdy wreszcie rada uchwaliła na ten cel potrzebne kredyty, komisya budowlana miejska z wiceburmistrzem p. Stefanem Karczmarskim, jako przewodniczącym, raźno się wzięła do dzieła.

I u podnóża Krzemionek, na olbrzymim placu, wyrósł jakby z pod ziemi piękny, choć pojedynczy budynek, w którym chciwa wiedzy młodzież czerpie już oświatę i naukę.

Nowa szkoła, wzniesiona kosztem dziewięćdziesięciupięciu tysięcy koron, z obszernym placem zabawowym i gimnastycznym, położonym poza budynkiem, a osłoniętym od wiatrów skałami Krzemionek, przedstawia się bardzo ładnie, a wewnętrzne urządzenie gmachu zarówno pod względem elegancyi jak i hygieny niczego do życzenia nie pozostawia. Wysokie, przestrzenne, pełne światła sale naukowe, szerokie, wygodne korytarze i schody zapewniają uczącej się młodzieży pracę w jak najlepszych warunkach hygienicznych. Jednopiątrowy gmach nowej szkoły, jak to jest



Autorowi „Karpackich górali“ miasto Brody. Fot. Buxdorf, Brody.
Pomnik Józefa Korzeniowskiego na skraju ogrodu miejskiego, zwanego „Rojekówką“ w Brodach.

przy budowie szkół ludowych przyjęte, dzieli się na dwie całkiem odosobnione części, tworząc w ten sposób szkołę żeńską i męską; każda zaś z tych części obejmuje siedm sal naukowych, oraz gabinet i kancelaryę dyrekcyjną. Oprócz powyższych oddzielnych całkiem ubikacyi do wspólnego użytku jest przeznaczona duża aula i znakomicie zaopatrzona sala gimnastyczna. Uroczystość poświęcenia i oddania do użytku publicznego nowej szkoły odbyła się jeszcze 12-go z. m. Poświęcenia w obecności całej rady, zarządu gminnego, miejscowej rady szkolnej z prezesem Stępieniem na czele i w obec starosty podgórskiego hr. Starzeńskiego dokonał proboszcz tameczny ks. Gruszecki, poczem nowy budynek szkolny objął w swój nadzór kierownik mieszczącej się w nim szkoły męskiej, nauczyciel Czaja. Kierownictwo szkoły żeńskiej objęła p. Łaska.

Przybyła więc Podgórzowi nowa szkoła, ale ludność tego miasta tak szybko rośnie, że już dziś nawet daje się odczuć potrzeba nowego gmachu, a zapewne zarząd gminy w najbliższej przyszłości tak ważną i nieodzowną wprost potrzebę corychlej uwzględni a gdy tylko fundusze gminy pozwolą, weźmie się tak, jak pierwej, szczerze do pracy i wzniesie drugi nowy budynek szkolny...

Śmierć w mące.

Straszną jest dola maszynowego robotnika.

Nie straszną dlatego, że dzień w dzień czeka go ciężka praca, ale dlatego, że pracując w pocie czoła za parę nędznych groszy niezbędnych dla wyżywienia rodziny zagląda w oczy śmierci i pada



Autorowi „Karpackich górali“ miasto Brody: Dworek w Starych Brodach, gdzie J. Korzeniowski ujrzał światło dzienne, wraz z tablicą pam., przez Tow. pedag. ustawioną w r. 1897. Fot. Buxdorf, Brody.

jej ofiarą, jeśli „szczęśliwym wypadkiem“ nie spotka go stokroć gorsza dola: kalectwo, niezdolność do pracy i kij żebraka!...

Jeden z takich tragicznych wypadków rozegrał się z końcem zeszłego miesiąca w Tarnowie.

W tamecznym parowym młynie Schanzera i Maschlera dnia 28 z. m. koło godziny piątej wieczorem robotnicy zabrali się do wybierania i ładowania w worki otrąb z ogromnej skrzyni. Robota szła szybko i sprawnie wśród śmiechów i żartów. Nagle śmiechy zamarły na ustach pracujących. Wyraz przerażenia ukazał się na ich twarzach.

Z pośród otrąb sterczały dwie bose nogi ludzkie.

Zawarczały łopaty w rękach robotników, gorączkowo chwycono się do pracy i po chwili z głębokiej warstwy otrąb wydobyto zimne już zwłoki młodego robotnika Jana Lisa.

Przywołany lekarz skonstatował tylko śmierć przez uduszenie i orzekł, że musiała ona nastąpić jeszcze w południe...

Czy przypadkowo z powodu braku urządzeń ochronnych przy olbrzymiej skrzyni, do której podczas mlewa sypią się bez przerwy otręby, czy też skutkiem własnej nieostrożności biedny robotnik wpadł do skrzyni — niewiadomo?

Chciał się ratować, co można wnioskować ze skurczonych nerwowo rąk i nóg, krzyczał zapewne, ale wśród turkotu maszyn nikt tego rozpaczliwego krzyku nie dosłyszał. a tym czasem otręby sypały się i sypały bez przerwy...

Nieubłagana straszna śmierć chwyciła Lisa w swe objęcia i nie puściła go więcej...

Rycina nasza, wykonana podług szkicu nadesłanego z Tarnowa, przedstawia chwilę, w której robotnicy odkrywają zwłoki nieszczęśliwej ofiary.



Śmierć w mące: Robotnicy w tarnowskim młynie parowym Schanzera i Maschlera odkrywają wśród otrąb zwłoki Jana Lisa.

Do kongresu Sodalicyi Maryańskich.

W poprzednim numerze daliśmy zillustrowany opis uroczystego obchodu półwiekowej rocznicy ogłoszenia przez papieża Piusa IX. dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej.

Na rycinie w tym numerze w uzupełnieniu podanej, przedstawieni są Dostojnicy Kościoła w kraju naszym, na uroczystość umyślnie przybyli. Im to należy się podziękowanie za uwieńczenie skutkiem pięknego projektu obchodu pamiętnej dla całego świata katolickiego rocznicy, oraz za uświetnienie podniosłej uroczystości swoją obecnością. Książęta Kościoła naszego, rozjeżdżając się z prastarej stolicy, upamiętnili swą wspólną w niej bytność zdjęciem fotograficznem.



Do kongresu Sodalicyi maryańskich we Lwowie: Grupa dostojników Kościoła — inicyatorów kongresu.

Jubileusz Tow. Przyj. Sztuk Pięknych.

Półwiekowy okres działalności zamknęło Towarzystwo przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie wystawą, którą otwarto dla publiczności w dn. 8 bm.

Instytucya ta, powstała przed pół wiekiem jako pierwsza i przez długi czas jedyna wśród ziem polskich, stojąc zawsze na wysokości swego zadania, nie małe rozwojowi sztuki polskiej oddała usługi: ona to grupowała wokół siebie miłośników sztuk pięknych, ona popierała siły młode, zapału do pracy pełne, ona dała społeczeństwu poznać wszystkich wybitniejszych mistrzów pędzla i dłuta, ona wreszcie podniosła ducha, uszlachetniała i ukulturalniała ogół cały.

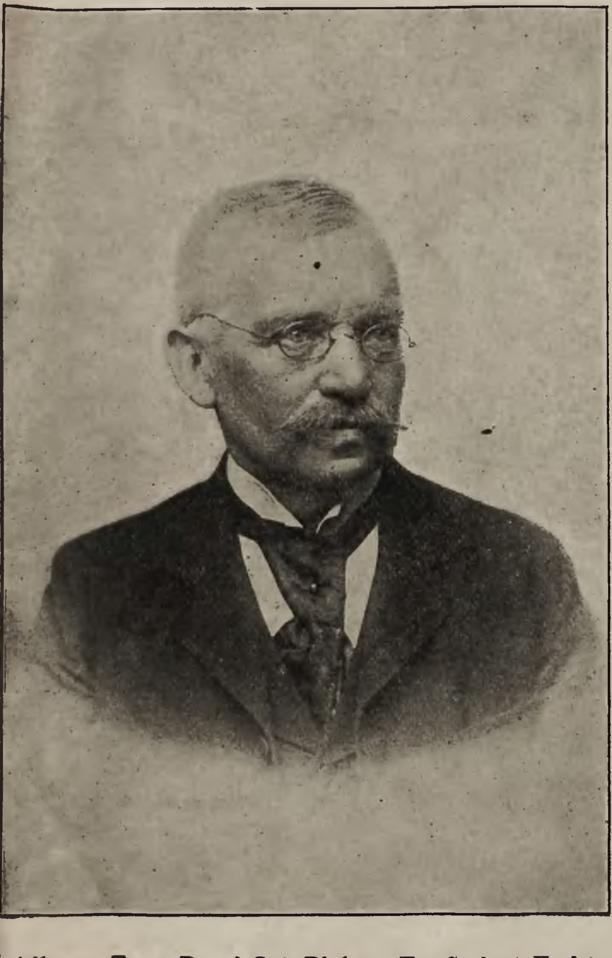
Nic więc dziwnego, że cały ogół polski brał duchowy udział w obchodzie jubileuszowym. Na akt otwarcia wystawy przybyło około 200 przedstawicieli różnych społecznych warstw — a wszyscy ci, którzy miejsc tam nie znaleźli, licznie odwiedzają obecnie wystawę jubileuszową, charakteryzującą najzupełniej działalność Towarzystwa, bo zawierającą prace najprzedniejszych lubo i najmłodszych malarzy i rzeźbiarzy naszych. Uroczystego aktu otwarcia wystawy dopełnił prezes instytucyi Edward hr. Raczyński, streściwszy w podniosłych słowach historyę półwiekowej działalności Towarzystwa, które do ostatniej chwili przoduje pod względem artystycznym Lwowu i Warszawie, wydając, pielęgnując, popierając i rekomendując adeptów sztuki, ku zadowoleniu całego ogółu polskiego a na pożytek sztuce ojczystej.

Że w tem, co mówimy, niema przesady i egoizmu, objawiającego się w umiłowaniu rodzinnego miasta i wszystkiego, co do niego należy — potwierdzi każdy, kto uprzytomni sobie, że większość współczesnych naszych malarzy i rzeźbiarzy w Krakowie poraz pierwszy występowała publicznie i tu pasowana była na szermierzy sztuki ojczystej: przyjrzyjmy się choćby ostatniej wystawie a przekonamy się, jakich artystów poznanie zawdzięczamy tej instytucyi. Bo są tu istotnie prace, najlepiej świadczące o obecnym stanie naszych sztuk pięknych, reprezentowanych przez: Jacka Malczewskiego, Wojciecha Kossaka, Wincentego Wodzinowskiego, Włodzimierza Tetmajera, Piotra Stachiewicza, Wyczółkowskiego, Hirszenberga, Filipkiewicza, Fałata, Kamockiego, Dąbrowy, Gałka, Rozwadowskiego, Tondosa, Pociechy, Janowskiego, Jankowskiego, Atteslânderowej, Olgi Boznańskiej, Pochwalskiego, Lenca, Procajłowicza, Alchimowicza, Uziembły, Ruszczyca, Weissa, Axentowicza, Mehofera Błotnickiego, Glicensteina. Weisenhofa, Szczepkow-

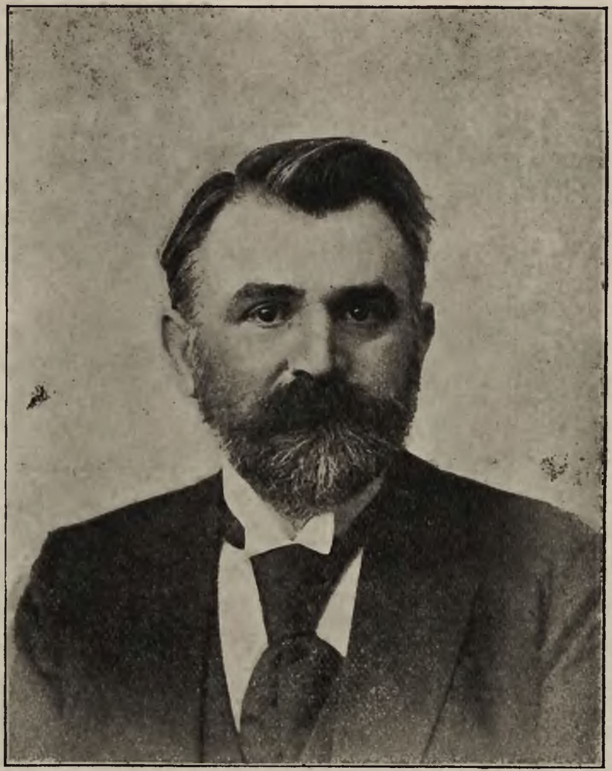
skiego, Laszczki, Czajkowskiego, Trojanowskiego i wielu innych.

Pałac sztuki na rzadką uroczystość gruntownie odnowiono: sale przyozdobiono ornamentacyą wswojskim stylu oraz spowito w zieleń; przed gmachem ustawiono efektowny transparent z artystycznym afiszem.

Mówiąc o instytucyi sztuk pięknych, nie możemy zamilczeć o tych, którzy pracą swoją przyczynili się do rozwoju Towarzystwa, a tem samem uświetnieniu uroczystości jubileuszowej: są to prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych Edward hr. Raczyński i p. Seweryn Böhm, sekretarz instytucyi.



Jubileusz Tow. Przyj. Szt. Piękn. Fot. Szubert, Kraków.
Seweryn Böhm, sekretarz Towarzystwa.



Nowi wiceprezydenci m. Krakowa. Fot. Sebald, Kraków.
Michał Chyliński, I. wiceprezydent m. Krakowa.



Jubileusz Tow. Przyj. Szt. Piękn: Edward hr. Raczyński
Prezes Towarzystwa.

Edward hr. Raczyński, powołany przed kilkunastu laty na odpowiedzialne stanowisko prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, z zapałem zabrał się do pracy i do dziś dnia jako prawdziwy znawca i mecenas wstępując w ślady imienników swoich Edwarda i Atanazego Raczyńskich, znanych w historyi z zamiłowania do pielęgnowania sztuk pięknych za czasów rzeczypospolitej, i z całem zrozumieniem swego stanowiska, zdala od prywat i uprzedzeń, stara się podnosić poziom polskiej sztuki, bo tę kocha, pojmuje i odczuwa.

Dzielnie pomaga mu w tem długoletni członek-sekretarz pan Seweryn Böhm, członek energiczny i sercem całem oddany sztuce, której wszystek czas swój, siły wiekiem nadwątlone i inicyatywę oddaje.

Illustrując ten artykuł, podajemy podobizny zasłużonych członków dyrekcyi Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych: prezesa hr. Raczyńskiego i sekretarza p. Böhma oraz widok z pałacem sztuki, odświeżonym i udekorowanym na jubileusz.



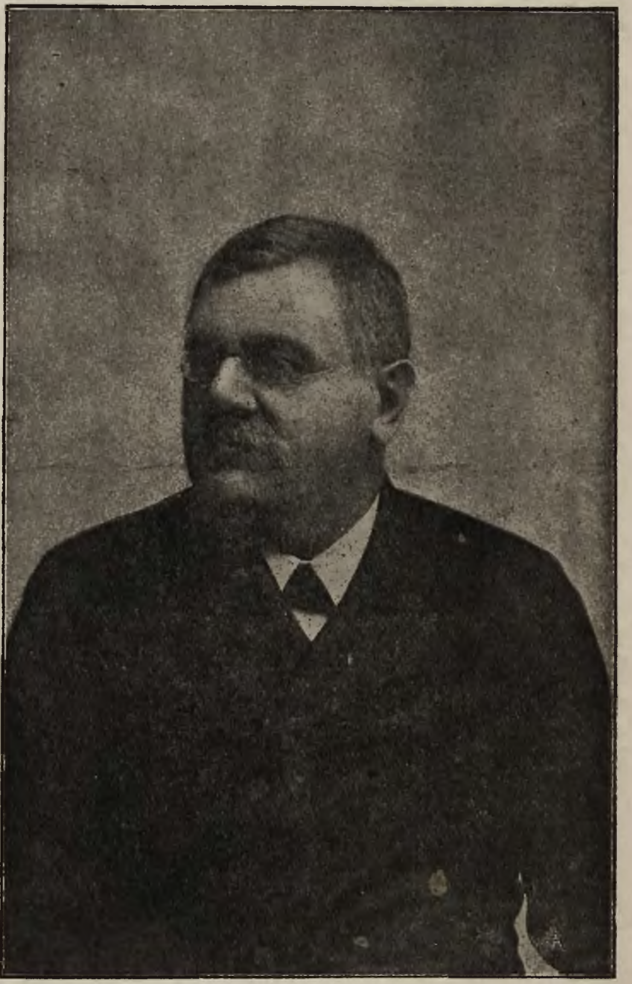
Jubileusz Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Fot. Pierzchalski, Kraków.
Fronton Pałacu Sztuki, udekorowany w dniu otwarcia wystawy jubileuszowej.

Nowi wiceprezydenci miasta Krakowa.

Ukonstytuowało się już nowe prezydyum zarządu autonomicznego miasta Krakowa.

Po ustąpieniu prezydenta Friedleina, ster rządów na mocy wyboru objął były pierwszy wiceprezydent miasta profesor dr. Juliusz Leo. Skutkiem tego wyboru opróżniło się miejsce pierwszego wiceprezydenta i w ostatnich dniach większość rady stanowisko to oddała w ręce drugiego wiceprezydenta p. Michała Chylińskiego, wydawcy „Czasu", powierzając w tydzień później drugą wiceprezydenturę profesorowi drowi Stanisławowi Domańskiemu dotychczasowemu radnemu miasta.

Obaj nowi wiceprezydenci należą do stronnictwa konserwatywnego, obaj jako długoletni radni miejscy obeznani są dostatecznie z potrzebami gminy. To też możemy się chyba spodziewać po nich, że na stanowiskach, które obecnie zajęli, będą służyć gminie jak najszczerzej i że praca ich przyniesie owoce.



Nowi wiceprez. m. Krakowa. Fot. Jabłoński, Kraków.
Dr. Stanisław Domański, II. wiceprezydent m. Krakowa.

A praca wiceprezydentów, choć nie stojących bezpośrednio u steru rządów miasta, może i powinna wydać owoce, czy to w formie inicyatywy, czy też w formie popierania wniosków radnych miejskich, wniosków mających istotne dobro miasta na celu.

Znając dokładnie charaktery i zapatrywania obu nowych wiceprezydentów przypuszczamy, że żaden z nich nie zawaha się stanąć po stronie demokratycznej mniejszości rudy, o ile naturalnie żądania jej nie będą wkraczać w sferę polityki, lecz w sferę społecznych potrzeb miasta.

Spodziewamy się, że nowi prezydenci przedewszystkiem siły swe i całą pracę poświęcą na przeprowadzenie postulatów ludności, na które Kraków już tak dawno oczekuje!

Trzeci most na Wiśle, łączący Kraków z Podgórzem, budowa przystani handlowej, zniesienie akcyzy, wzniesienie łaźni ludowych, wglądnięcie i ostateczne załatwienie sprawy pomieszkań dla dozorców kamienicznych, to są najważniejsze żądania ludności, na które nowi wiceprezydenci winni zwrócić baczną uwagę.

A pewni jesteśmy, że obaj wiceprezydenci dołożą starań, aby sprawy te doprowadzić do skutku.

Gdyby się to istotnie stało, mieliby się czem pochwalić, położyliby około miasta duże zasługi.

Czytelnikom naszym podajemy podobizny obu nowych wiceprezydentów.



Wystawa ogrodnicza w Krakowie: Uroczysty akt otwarcia wystawy w Parku dra Jordana w dniu 2 b. m. Fot. Pierzchalski, Kraków.

Zaznaczymy tu jedynie to, że studyum rolnicze Uniwersytetu Jagiellońskiego wystawiło przeszło 250 przeróżnych istotnie pięknych odmian owocowych.

Nie ustępują jednak miejsca Uniwersytetowi wystawcy prywatni: owoce z ogrodów hr. Andrzeja Potockiego, Czarachowskiego, Kościelskiego, Szarka ks. Twardowskiego, oraz licznych Kółek rolniczych wielkością swoją imponują te okazy wszystkim bez wyjątku zwiedzającym.

Warzywnictwo zajmuje mniej stosunkowo miejsca, jakościowo jednak przedstawia się jeszcze lepiej: okazy wystawione imponują wprost swoją wielkością i doborem gatunków.

Wypełniły wystawę narzędzia rolnicze, nasiona, przetwory owocowe, sprzęty wszelkiego rodzaju i t. p.

Wystawę zwiedziło przez czas jej trwania kilkanaście tysięcy ludzi; wielu z nich przybyło z dalekich okolic kraju, a nawet z zagranicy: z pośród tych ostatnich widzieliśmy p. Ulricha z Warszawy oraz p. Brandta z Włocławka, właścicieli największych w Królestwie Polskiem zakładów ogrodniczych.

Ryciny, jakie w niniejszym numerze zamieszczamy, przedstawiają:

1) Uroczysty akt otwarcia wystawy,
2) grono jurorów,
3) kwiaty cięte z zakładu ogrodniczego p. Józefa Kudasiewicza w Prądniku Czerwonym.

Wystawa ogrodnicza w Krakowie.

Zaledwie dwie wystawy: metalowa i fotograficzna zamknęły swoje podwoje, otrzymał Kraków trzecią wystawę — niemniej ciekawą i niemniej pouczającą.

Była nią wystawa ogrodnicza, którą w numerze dzisie szym illustrujemy.

Jakeśmy to poprzednio donieśli, wystawa składała się z trzech działów: kwiaciarstwa, ogrodnictwa i wawrzywnictwa — reprezentowanych obficie i systematycznie ułożonych.

Wprawdzie krakowska wystawa nie mogła równ ć się z tego rodzaju wystawami za granicą, choćby nawet w Warszawie, wprawdzie była głównie przeznaczona dla zaznajomienia kupców i pośredników ze stanem ogrodnictwa w naszym kraju — mimo to przeciętnemu zwiedzającemu dała możność zoryentowania się w postępie, jaki w tym kierunku w ciągu ostatnich lat uczyniono.

Najskromniej na wystawie przedstawiał się dział kwiatowy — właściwie zdobił on jeno wystawę, kwiaty bowiem, uważane u nas za zbytek, dla ogólnego gospodarstwa ogrodowo-sadowniczego niemają wielkiego znaczenia.

Na wyróżnienie zasługiwał piękny klomb, urządzony pomiędzy trzema pawilonami, wykonany według planów i pod zwierzchnim dozorem dyrektora ogrodów miejskich p. Maleckiego.

Niemniej piękną była grupa drzew liściastych szklarnianych p. Micińskiego, Antoniego Lacha, W. Zięciny, Ireny Wojtowiczowej, Stanisławy Ribeltówny i t. p.

Z instytucyi zareprezentowały się w tym dziale: park miejski w Podgórzu, schronisko ks. Lubomirskiego, ogród ks. Misyonarzy w rakowie, zakłady ks. Marcelego Czartoryskiego oraz kilka pomniejszych.

Dział ten, lubo niewielki, świadczy, że ma kraj pod dostatkiem wszelkich gatunków kwiatów, krzewów i drzew owocowych, że na zagranicę się już oglądać nie potrzebuje, bo dzięki szeregowi ludzi zawodowo wykształconych z każdym rokiem doprowadza kwiaciarstwo do tego poziomu, jakim sąsiedzi nasi z zachodu szczycić się zwykli. Owocarstwo — to dział najobfitszy i istotnie podziw wzbudzający.

Oglądaliśmy, rozumie się, tylko późne (jesienne) owoce — o całości jednak dziś już możemy mówić dodatnio, bo w kulturze drzew owocowych zauważyć się daje na każdym kroku postęp o większych jeszcze sukcesach wróżący.

Dwa prawie pawilony zajmowały owoce wszelakich gatunków, których wyliczyć nie moglibyśmy nawet.



Wystawa ogrodnicza w Krakowie. Fot. Pierzchalski, Kraków.
Okazy kwiatów ciętych z zakładu ogrodniczego p. Józefa Kudasiewicza w Prądniku czerwonym.

Straszny wybuch benzyny w Warszawie.

Głupie żarty, bezmyślność, lub karygodna nieostrożność zwykle bywają przyczyną najstraszniejszych katastrof i wypadków, które tak łatwo dałyby się uniknąć, gdyby ludzie — jak to mówią — mieli głowę na karku.

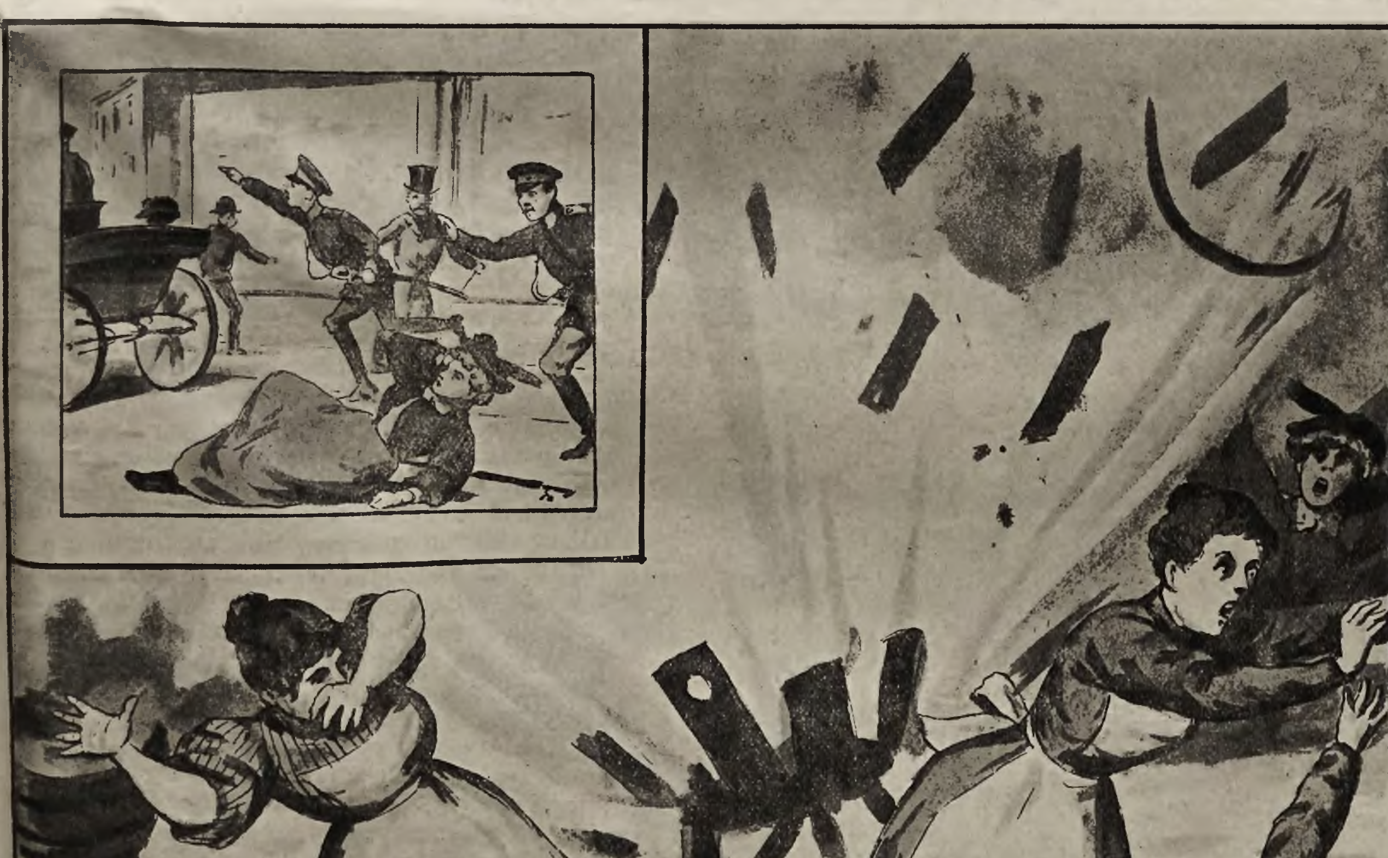
I rzecz dziwna! Los ma już taką chimerę, że zwykle ten, który spowodował katastrofę, wychodzi z niej cało, a ofiarą padają najniewinniejsze, Bogu ducha winne osoby....

Straszna taka katastrofa spowodowana przez karygodną nieostrożność zdarzyła się z końcem ubiegłego tygodnia w Warszawie w pralni chemicznej p. Jadwigi Bentlewskiej mieszczącej się w suterenach domu pod l. 99 przy ulicy Marszałkowskiej.

W chwili, kiedy w pralni do



Wystawa ogrodnicza w Krakowie: Grupa sędziów. (Treść na str. 8). Fot. Pierzchalski, Kraków



P. Olendzka pod kołami dorożki na ul. Marszałkowskiej.

Straszny wybuch benzyny w Warszawie: Wybuch benzyny w pralni chemicznej p. Bentlewskiej przy ul. Marszałkowskiej.

ogromnej balii wlano czterdzieści funtów benzyny, ktoś — bo w takich wypadkach niema innego sprawcy nieszczęścia, jak tylko nieokreślony taki i nieuchwytny „ktoś“ — wrzucił do balii płonącą zapałkę....

W tej chwili powietrzem wstrząsnął ogłuszający huk. W mgnieniu oka zapadł się sufit i osoby znajdujące się w sklepie pralni na parterze, runęły do suteren....

Skutek wybuchu był przerażający. Po nim dopiero można było poznać, jak potężną siłę eksplodującą posiada benzyna. W całej kamienicy jak grad posypały się szyby, w niektórych oknach drewniane ramy zostały wprost wyrwane z murów.... Wszystkie olbrzymie szyby wystawowe w sklepach frontowych padły pogruchotane w kawały a duże ciężkie drzwi dębowe, prowadzące do głównej klatki schodowej wraz z potężnem żelaznem okuciem szarpnięte siłą wybuchu, zostały wyrwane i odrzucone na jakie conajmniej sześćdziesiąt kroków....

I okoliczne domy poniosły także większe i mniejsze uszkodzenia, a oprócz tego padło ofiarą tej katastrofy siedm osób, które doznały bardzo ciężkich obrażeń.

Pomiędzy nimi odniosły poważne rany dwie przybyły do Warszawy z Siedlec panie, Marya Granowska i Teodora Olendzka.

Tę ostatnią na bruku warszawskim dziwnie los prześladuje.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy na tej samej ulicy Marszałkowskiej przejechał ją jadący prawie pełnym galopem dorożkarz.

Pani Olendzka została wówczas bardzo dotkliwie choć niezbyt niebezpiecznie — poranioną i zaledwie opuściła łóżko, zaraz udała się do pralni pani Bentlewskiej, aby suknię zwalaną przy tym wypadku dać do odczy-



Korpus c. k. weteranów wojskowych w Brodach: Grupa członków korpusu wraz z sztandarem swoim i orkiestrą. (Opis na str. 11). Fot. Buxdorf, Lwów.

szczenia. Właśnie gdy weszła do sklepu, nastąpił ów wybuch i znów padła ofiarą katastrofy.

Illustracya nasza przedstawia ów straszny wybuch benzyny w lokalu mieszczącym pralnię i przejechanie pani Olendzkiej przez doróżkę.

Z wystawy metalowej w Krakowie.

Kończąc cykl naszych sprawozdań z wystawy metalowej, której echa, choć jest już zamknięta nie przebrzmiały jeszcze wśród kraju, nie możemy pominąć milczeniem krajowej szkoły ślusarskiej w Świątnikach.

Wszak z temi wyrobami spotykamy się na każdym kroku... Wejdziesz do kawiarni, wstąpisz do restauracyi, czy idziesz ulicą, zawsze natkniesz na przekupnia, który pobrzękując wiązanką kłódek zagadnie cię stereotypowem pytaniem:

— „Może kłódeczki Świątnickie?“.

A te kłódeczki świątnickie mają swoją ustaloną i zasłużoną sławę, bo tak dobrym wyrobem nawet zachwalana zagranica poszczycić się nie może.



Z wystawy metalowej w Krakowie: Wyroby krajowej szkoły ślusarskiej w Świątnikach. Fot. Jabłoński, Kraków.

Na wystawie metalowej szkołaś wiątnicka, której kierownictwo spoczywa w rękach p. Karola Bilego oprócz drobnych wyrobów takich z zakresu przemysłu domowego wystąpiła z bardzo pięknymi okazami reprezentującemi tameczny kurs kowalstwa oraz trzech działów ślusarstwa: budowlanego, artystycznego i wreszcie maszynowego.

Kompletowały ten bardzo ładny zbiór przedmioty galwanizowane i galwanicznie kolorowane. Wszystkie zaś pojedyńcze okazy, odrobione z całą starannością i umieszczone wśród całości w odpowiedniem dla siebie miejscu wzbudzały zarówno wśród fachowców jak wśród zwiedzających wystawę laików całkiem zasłużony podziw i uznanie.

Na tem kończymy cykl naszych sprawozdań z wystawy metalowej...

Na zakończenie jednak jeszcze słów kilka.

Wystawa, która powinna była wzbudzić zainteresowanie i opłacić się, przyniosła urządzającym deficyt kasowy.

Każdy zapyta pewno, czyja w tem wina? Odpowiemy krótko: wina ospałości naszego społeczeństwa i tej jakiejś apatyi do wszystkiego, co swojskie, co pożyteczne. Gdyby tak do Krakowa zjechał pan Barnum, albo inny jakiś nawet mniej sławny wydrwigrosz, byłby zgarnął garściami złoto do kieszeni, ale dla poparcia krajowej wystawy brakło nam i chęci i marnego nawet niklu.

To smutne! bardzo smutne, zwłaszcza, że niestety całkiem prawdziwe!...



19-letni chłopak rabusiem i mordercą: Jan Grzybek morduje brzytwą, powracającego z „Saksów“ do domu Mikołaja Chudę.

19-letni chłopak — rabusiem i mordercą!...

Chęć używania, żądza złota — popychają ludzi do najpotworniejszych zbrodni!...

Dlaczego taki jeden i drugi człowiek młody, zdrów, pełen sił fizycznych, słowem pod każdym względem uzdolniony do pracy, dla zdobycia tych marnych groszy schodzi na śliską drogę zbrodni i występków, drogę, na której prócz groźnego widma surowej kary spotyka prawie zawsze o wiele

większe trudności i musi stokroć cięższe ponosić znoje, niż gdyby jął się jakiej uczciwej pracy, to jest pytanie, które zawsze nasuwa się każdemu, gdy taka zbrodnia wyjdzie na jaw.



Zatarg o następstwo tronu w Rzeszy niemieckiej: Obecny nieuznany regent księstewka Lippe Leopold hrabia na Lippe Biesterfeld.

Zdaje się, że winno temu samo nasze społeczeństwo, że główną przyczyną tego, jest niestety brak poszanowania pracy!...

Żywym dowodem prawdziwości naszych słów i zapatrywań jest dziewiętnastoletni Jan Grzybek, za którym tropi dziś żandarmerya, którego szuka policya krakowska.

W ubiegłym tygodniu, żandarm z posterunku prokocimskiego na pastwisku ciągnącem się wzdłuż drogi prowadzącej z Podgórza do Prokocima ujrzał człowieka w sile wieku, broczącego krwią, płynącą obficie z kilku ran zadanych mu w gardło.

Żandarm czemprędzej sprowadził wóz wymoszczony słomą i przewiózł nieszczęśliwego do Podgórza, gdzie mu udzielono pierwszego ratunku.

Ranny przyszedł do przytomności i słabym głosem zaczął opowiadać swe dzieje.

Nazywa się Mikołaj Chuda, wracał do domu z Saksów, dokąd chodził za zarobkiem, bo w domu bieda, a podatki wysokie. Gdy wyszedł z Podgórza, przyłączył się doń młody chłopak, najwyżej dziewiętnastoletni, który mu się przedstawił jako Jan Grzybek.

Szli i rozmawiali, a Grzybek wciąż naciągał go, żeby kupił wódki.

On nie był od tego! Dla przyjemności drugiego niepożałował kilku centów. Grzybek w ten sposób poznał, że on ma pieniądze.

Wstąpili do jednej karczmy i do drugiej. Jemu zamroczyło się już w głowie, Grzybek był wciąż trzeźwy.

Gdy doszli do prokocimskiego pastwiska, on powiedział, że musi się trochę przespać, a Grzybek projekt ten przyjął z ochotą.

Położyli się więc obaj i on usnął natychmiast.

Naraz w śnie uczuł szalony ból. Otworzył oczy, dostrzegł klęczącego na nim Grzybka z twarzą straszną, zawziętą i uczuł ostrze żelaza zagłębiające się w jego gardle...

Omdlał...

Przy Chudzie, którego umieszczono w krakowskim szpitalu św. Łazarza, nie znaleziono żadnych pieniędzy.

Dla kilku groszy dziewiętnastoletni chłopak został rabusiem i mordercą!...

Pożar Toporowa.

Miasteczko Toporów położone o 29 klm. na północny zachód od Brodów padło ofiarą strasznego pożaru. Kilkanaście dni posuchy wystarczyło, by wyschłe budynki gontami i słomą kryte, w jednej chwili zajaśniały płomieniem, który na odległość 5 do 6 mil oświecały widnokrąg. Ogień zniszczył całe śródmieście i dalsze części miasteczka tak, że prócz zabudowań gospodarskich padło jego ofiarą 144 domów mieszkalnych czyli trzy czwarte Toporowa.

W tem nieszczęściu zwróciła się gmina po pomoc do sąsiednich, choć znacznie odległych miast Brodów i Radziechowa.

Obydwa te miasta wysłały też bezzwłocznie straże ogniowe i sikawki, przy których pomocy zdołano ocalić około 40 domów.

W płomieniach znalazły śmierć dwie krowy.

Ocalenie reszty miasteczka zawdzięczyć należy dzielnemu posterunkowi żandarmeryi, który z natężeniem wszelkich sił pracował nad zlokalizowaniem pożaru.

Na wiadomość o strasznej klęsce, która nawiedziła sąsiednie miasteczko, uchwalił magistrat brodzki wysłać pomoc w pieniądzach, a kahał chleb i ubrania i namiestnik przysłał jako doraźną pomoc 3000 koron; to wszystko jednak wobec milionowej szkody jest tylko kroplą w morzu, to też komitet, zawiązany z Drem Bełzowskim na czele, apeluje do ofiarności publicznej, by uchronić prawie dwa tysiące osób od chorób i głodu, który już na drugi dzień po pożarze silnie dokuczać począł zamożnym dotąd gospodarzom i ich rodzinom.

Marszałek powiatu brodzkiego i poseł na sejm krajowy postawił na posiedzeniu onegdajszem sejmu nagły wniosek o przyjście z pomocą nędzarzom i stosownie do jego życzenia odesłano tenże do komisyi, która przyjść ma na przyszłe posiedzenie ze swą odnośną uchwałą. *mf.*

Zatarg o następstwo tronu w Rzeszy Niemieckiej.

Umysły całej Rzeszy niemieckiej, a zwłaszcza umysły polityków, są dzisiaj zajęte sprawą następstwa regencyi malutkiego księstewka Lippe. Sprawa ta, napozór drobna, w gruncie rzeczy jest bardzo ważną, rozchodzi się tu bowiem o gwarantowane pojedyńczym państewkom Rzeszy prawa, o te prawa, na których podstawie nastąpiło zjednoczenie się tych państw w całość, zwaną cesarstwem niemieckiem.

Sprawa ta ma więc dla Rzeszy niemieckiej wielkie znaczenie i to tem większe, że do zatargu wmieszał się król pruski a cesarz niemiecki Wilhelm II.

Po śmierci dotychczasowego regenta księstewka Lippe hrabiego Ernesta na Lippe-Biesterfeld, który 26 września zakończył życie, na mocy rozporządzenia z Lopshorn i podpisanego przez ministra stanu Gevekota, objął regencyę syn zmarłego regenta Leopold hrabia na Lippe-Biesterfeld.



Zgliszcza po pożarze Toporowa. Fot. Buxdorf, Brody.

Rozporządzenie to, oparte na regulującej prawo następstwa regencyi księstewka Lippe ustawie z 28 kwietnia 1895 r., która została wydana po śmierci księcia Waldemara, spotkała się z zarzutami drugiej linii rodziny Lippe, linii Lippe-Schaumburgów.

Tego samego dnia, kiedy ukazało się owo rozporządzenie ministeryalne na korzyść hrabiego Leopolda, wnieśli oni do związku Rzeszy protest przeciw objęciu regencyi przez księcia Leopolda,



Zatarg o następstwo tronu w Rzeszy niemieckiej: † Hrabia-regent Ernest na Lippe-Biesterfeld.

opierając się na całym szeregu rozmaitych aktów, akcików, rozporządzeń i umów, w jakie archiwa takich drobnych władców obfitują aż zanadto i mnogością swą pokrywają kasowe braki.

Cesarz Wilhelm odmówił zatwierdzenia na regencyi hrabiego Leopolda i obecnie cała sprawa pozostaje w zawieszeniu.

W każdym razie ciekawym będzie ten spór, a ciekawszem, kto zwycięży, czy linia Lippe-Biesterfeld, czy Lippe-Schaumburg?

Korpus c. k. weteranów wojsk. w Brodach.

W dniu św. Michała, patrona Galicyi obchodził korpus c. k. wojskowych weteranów w Brodach ośmioletni jubileusz swego istnienia.

Korpus ten, pozostający pod protektoratem główno komenderującego korpusem lwowskim feldmarszałka Fiedlera, właściciela 30 pułku piechoty, choć młody, zdołał zgromadzić już znaczne fundusze i świadczy członkom swym pomoc przekraczającą nawet zwykłe granice obowiązków podobnych Towarzystw.

Głównem zadaniem takich korpusów jest niesienie finansowej pomocy starym i niezdolnym już do pracy weteranom, udzielanie członkom Towarzystwa wsparć w razie choroby chwilowej oraz ponoszenie kosztów, jakie powoduje pogrzeb zmarłych członków.

Korpus brodzki przyjął na siebie jeszcze większe obowiązki, bo wdowom zmarłych członków Towarzystwa udziela znaczniejszych jednorazowych zapomóg, a sieroty wspiera stale aż do tej chwili, w której uzyskają one samoistne stanowisko, lub zdolne są same zapracować na swoje utrzymanie.

Główne zasługi koło tak prędkiego i świetnego rozkwitu Towarzystwa położył prezes jego p. Kallir i komendant korpusu p. Braun. Ich to dobra wola, zapobiegliwość i rządność zdziałały, że w zeszłym roku korpus c. k. weteranów, który liczy już przeszło stu członków.

Obchód jubileuszowy ograniczył się do nabożeństwa w kościele farnym, w którym brała udział młoda orkiestra i do skromnego zebrania, podczas którego prezes, komendant i członkowie niektórzy w gorących przemowach zachęcali do dalszej pracy koło dobra i rozwoju tak potrzebnej instytucyi, którą humanitarny cel najlepiej chyba reklamuje i poleca opiece społeczeństwa brodzkiego.

Z wystawy w Saint Louis.

Przedstawcie sobie przestrzeń 485 hektarów, zabudowanych setkami wspaniałych stylowych gmachów — istne miasto jakby w jednym czasie z pod ziemi wyrosło — to wystawa w Saint Louis!

Wszystko, co praca i wiedza ludzka wydać mogła, znajduje się tu na tym turnieju wszechświatowym, ogólny podziw wzbudzając.

Wystawa w Saint Louis zajmuje dwa razy więcej miejsca, niż ostatnia wystawa w Chicago, a cztery razy więcej, niż wystawa paryska z 1900 roku.

W dziejach kultury ludzkiej wystawa ta zajmie miejsce poczesne i powinna wywrzeć wpływ na ukształtowanie się i dalszy rozwój stosunków międzynarodowych w zakresie wiedzy, sztuki, przemysłu i handlu.



Z wystawy w Saint Louis: Front pawilonu wykształcenia zawodowego, przemysłu i gospodarstwa ludowego.

Rozejrzyjmy się po terytoryum wystawowem.

Pośrodku terytoryum wznosi się wspaniała halla inauguracyjna, przeznaczona na wszelkiego rodzaju obchody i festyny, a mieszcząca w sobie salę teatralną i koncertową; obok hali tej znajdujemy pałac sztuki, a wokoło dziesięć głównych pawilonów, grupujących wokoło siebie setki mniejszych i większych kiosków i werand z okazami.



Z wystawy w Saint Louis: Pawilon sztuk wyzwolonych.



Z wystawy metalowej w Saint Louis: Pawilon budowy maszyn.

Po wejściu na plac na pierwszym planie widzimy olbrzymi 366 metrów szeroki a 20 metrów wysoki pawilon wykształcenia zawodowego przemysłu i gospodarstwa ludowego, wyróżniający się piękną, ściśle stylową kolumnadą.

Obok tego gmachu mieści się równy pod względem okazałości i wielkości pawilon rękodzieł, przepełniony okazami.

Imponująco wygląda piękny pałac sztuk wyzwolonych, mieszczący w sobie wszystko, co wkracza w dziedzinę artyzmu, zwłaszcza w zastosowaniu do wytwórczości przemysłowej.

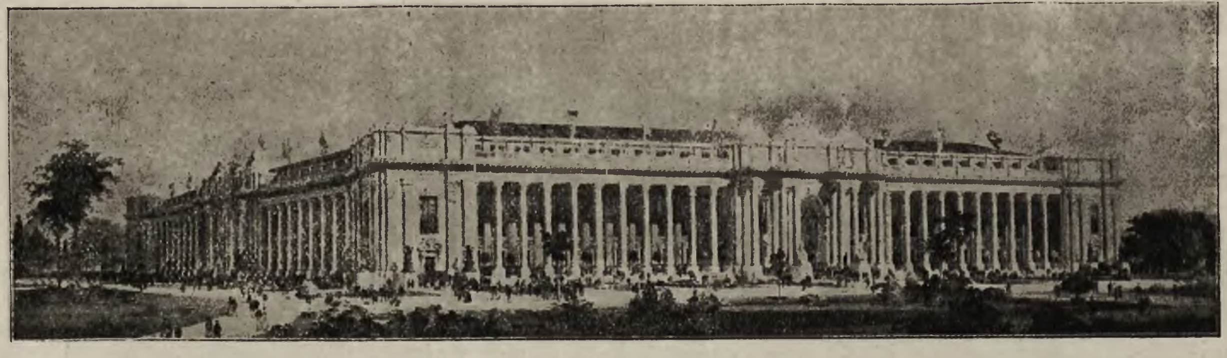
Nie mniej pięknym i okazałym jest pawilon budowy maszyn, pawilon rolnictwa, ogrodnictwa, leśnictwa, wreszcie pałac elektryczny.

Wszędzie tu z zadziwiającą znajomością przedmiotu ugrupowano systematycznie wszystkie okazy w stosunku do teoryi (nauki) i praktyki (zastosowania). Obok tablic porównawczych znajdujemy kolosalnych rozmiarów machiny, a obok nich mikroskopijne, zda się, ich części: wszystko to samo mówi za siebie bez przewodnika i objaśnień, wszystko tu daje żywy obraz najnowszych usiłowań i ostatnio stosowanych zdobyczy umysłu ludzkiego na wszystkich polach pracy. — W pawilonie „przemysłów różnych“ z cyfr i danych, mówiących o rozwoju przemysłu, ciekawy zwiedzający dowie się, jaką dźwignią w rozwoju kultury jest ciągły postęp pracy przemysłowej. — W pałacu sztuki wyczuje całą doniosłość piękna, zastosowanego do przedmiotów codziennego użytku; w hali machin pozna wobec ogromu i komplikacyi okazów swą nicość, a mimo to odpowiedzialność za każdy krok przy tych kolosach pracujących dla człowieka; w pałacu elektrycznym stwierdzi i zrozumieć potrafi najlepiej, do jakiego stopnia iskra owładnęła całokształtem życia ludzkiego tam, gdzie ono tętni i harmonizuje się z hukiem maszyn, łoskotem młotów i impetem kół rozpędowych.

Tysiące zwiedzających ze wszystkich prawie zakątków kuli ziemskiej przybywa na wystawę i wyjść zpodziwu nie może: najbardziej na uwagę zasługuje, rozumie się, dział wynalazków.

Z główniejszymi z nich postaramy się poznajomić czytelników.

Pomiędzy innemi poczesne miejsce zajmują aparaty telegrafu bez drutu, już nie Marconiego, a stokroć bardziej ulepszone przez Foresta. W związku z tym wynalazkiem jest telefon bez drutu, przenoszący bardzo szybko i nadzwyczaj wyraźnie słowa na daleką przestrzeń, oraz wielce ciekawy aparat telegraficzny pomysłu Delany'ego, przesyłający w ciągu sekundy 16 wyrazów na odległość 300 mil.



Z wystawy w Saint Louis: Ogólny widok pawilonu wykształcenia zawodowego, przemysłu i gospodarstwa ludowego.

Na szczegółowe obejrzenie wystawy — tego miasta tryumfu sił umysłowych i fizycznych człowieka — potrzeba już nie dni, jak na ostatniej wystawie paryskiej, ale tygodni.

Majestat umysłu ludzkiego panuje tu wszechwładnie: on ujarzmił potęgi żywiołowe i on im rozkazuje, choć nieraz z podziwu wyjść nie może i nie pojmuje dostatecznie, jak mógł do takich wyników dojść i jaką drogą udało mu się okiełznać siły, które wydawały mu się nadprzyrodzonemi...

Na zakończenie notatka reporterska brukowa: oto z dniem otwarcia wystawy po dziś dzień wśród tysięcy zwiedzających grasują wszechwładnie złodzieje, szulerzy i awanturnicy, po amerykańsku wyćwiczeni w swej sztuce: setki zawiadomień o kradzieżach dziennie przyjmuje policyjne biuro wystawowe, lecz niestety poprzestać musi jedynie chyba na zbieraniu materyałów do statystyki, bo wszelkie usiłowania agentów wobec wyrafinowania opryszków niezbyt zadawalające dają rezultaty. Ta sztuka to... również owoc ostatnich lat kultury ludzkiej.

Sztuka? zapewne sztuka, choć nie należąca do pięknych! Sztuka, która zarabia „lekko“ na chleb ze szkodą bliźnich!..

Słusznie, jak się okazuje, powiedział któryś z myślicieli francuskich, głosząc, że im bardziej potężnieje kultura i piętno swe na niektórych osobnikach w dodatnim kierunku objawia, tem więcej stosunkowo zwiększa się liczba osobników zdegenerowanych o umyśle w ujemnym kierunku zmierzającym do wyrafinowania...

Dzieje się to pono gwoli równowagi...

Synowie przeciw ojcu.

Osiwiały myśliciel rosyjski z Jasnej Polany, hrabia Lew Tołstoj, ciężkie przeżywa obecnie chwile.

Do walki ze szlachetnemi ideami pokoju, do walki z gorącemi słowami prawdziwej chrześciańskiej miłości bliźniego, jakie stary filozof hojną rozsiewa dłonią po nieurodzajnym, zachwaszczonym ugorze serc ludzkich, wystąpiła jego własna krew, jego obaj synowie.

Gdy hrabia Lew Tołstoj w szlachetnem oburzeniu ciska gromy na toczącą się obecnie w Mandżuryi krwawą walkę, w chwili, gdy potępia niczem nieuzasadnioną zaborczość polityki rosyjskiej i płacze nad biednym swym ludem, pędzonym do walki krwawej w obronie interesów państwa, nie będących jednak bynajmniej interesami tego ludu — jeden z jego synów przywdział szynel żołnierski i jako ochotnik zaciągnął się w szeregi, byleby tylko dostąpić zaszczytu przelewania krwi Japończyków...

A córka filozofa, gardząc światłemi słowy ojca, bierze udział w uroczystościach z powodu wysłania wojsk do Mandżuryi...



Fot. Sebald, Kraków.

Akademia handlowa w Krakowie: Prof. Jan Zawiejski, architekt miejski, twórca planów i ich wykonawca.



Akademia handlowa w Krakowie: Fasada gmachu według planów prof. Jana Zawiejskiego.



Synowie przeciw ojcu: Lew Tołstoj.

Oba te wypadki musiały boleśnie zranić serce wielkiego myśliciela, ale stokroć gorzej musi go boleć walka, jaką z ideami pokoju wszczął jego drugi syn i imiennik hrabia Lew Lwowicz Tołstoj. Młody hrabia nie walczy wprawdzie wprost z ojcem, nie zbija poglądów jego, zawartych w sławnym liście, jaki ukazał się na łamach angielskiego „Timesa“, ale na szpaltach „N.Wremienia“ występuje w obronie zaborczych pragnień i wojny, wielbi „mądrość (?) rosyjskiego **chłopa**, który chętnie (?) ponosi ciężary wojenne“, a przytem wyraża przekonanie, że „Rosya pochłonie wszystkie sąsiadujące z nią ludy, a Anglików wypędzi z Egiptu i Indyi.

Lecz chociaż dzieci hrabiego Tołstoja występują przeciw ojcu, poglądy i idee, szerzone przez starca wśród społeczeństwa rosyjskiego, zyskują coraz więcej zwolenników, a w tem samem „N. Wremieni“ jeden z najpoważniejszych publicystów rosyjskich Menżykow, bez wahania odsłania całą grozę wewnętrznych stosunków i ciemnoty, panującej w Rosyi, i nawołuje do pracy pod hasłem oświaty, nie miecza.

I zdaje się, że długo trzeba będzie czekać na ziszczenie się bodaj częściowe nawoływań starego filozofa.

Gmach Akademii handlowej w Krakowie.

Kraków zyska w krótkim czasie nową uczelnię — akademię handlową, a wraz z nią nowy, piękny gmach, wzniesiony na placu po ujeżdżalni.

Gmach, utrzymany w oryginalnym i poważnym stylu, mieć będzie dwa fronty: od ulicy Straszewskiego i od ul. Kapucyńskiej – będzie więc prawdziwą ozdobą dzielnicy, dotychczas upośledzonej pod względem pięknych, stylowych zabudowań.

Twórcą planów jest profesor Jan Zawiejski, architekt miejski, projektodawca gmachu teatru miejskiego, teatru ludowego, kilku szkół wielkich i wielu innych projektów na gmachy, któremi niebawem Kraków się przyozdobi.

Wykształcony teoretycznie i praktycznie zagranicą, prof. Zawiejski od lat kilku osiadł na stałe w Krakowie i tu od lat czterech piastując godność architekty miejskiego i honorowego konserwatora teatru, pozyskał sobie ogólne uznanie i sympatyę.

Gmach Akademii handlowej budowany jest pod osobistym dozorem twórcy i gdy pogoda dopisze, jeszcze w roku bieżącym doprowadzony zostanie pod dach.

Nowa budowla, zastosowana do najnowszych wymagań hygieny i potrzeb szkolnictwa, zawierać będzie potrzebną ilość sal wykładowych i pomocniczych laboratoryów i gabinetów, oraz gustownie urządzone mieszkanie dla dyrektora Akademii.

Gmach cały oświetlony będzie elektrycznością i zaopatrzony we wszystkie wygody i ulepszenia nowoczesne.

Słowem, będzie to jeden z najwzorowszych lokali szkolnych, których niestety tak mało posiadamy w naszym kraju.

Budynek ten, to nowy dowód ofiarności gminy dla miasta i energii nowego prezydenta.



Pomnik carycy Katarzyny II: Uroczystość odsłonięcia pomnika Katarzyny II. w Wilnie. (Treść na str. 16).

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

3 (Ciąg dalszy).

...Mąż, którego pani nie kocha... Przyjdź i uszczęśliw twego księcia Ferdynanda...

Sternegg czytał raz po raz te słowa, jakby je dobrze chciał sobie wbić w pamięć, jakby obracanie tego noża w ranie przynosiło mu jakąś ulgę i łzy strumieniem spływały mu po ogorzałych policzkach.

Czytał i wierzyć nie chciał, aby to mogło być prawdą. Nie chciał wierzyć, aby ta kobieta, którą tak czcił i kochał, mogła wyrządzić mu tak straszną krzywdę.

Ale widocznie los uznał, że zamało jeszcze cierpień spadło w tej chwili na biednego nadleśniczego, bo do pokoju wsunęła się cicho blada z przerażenia Rózia.

— Proszę łaski pana — wyszeptała półgłosem — Jaś... Jaś umiera!...

Usłyszawszy te słowa Sternegg rzucił zmięty list księcia Ferdynanda na podłogę i pospieszył do łoża umierającego dziecka.

Tymczasem Hania podjęła list i zaczęła go czytać.

— W chacie myśliwskiej? — pomyślała — muszę ich ostrzedz muszę! Ojciec nie powinien ich tam zastać!

I zarzuciwszy na siebie chustkę Hania na oślep wśród ciemności nocnych pobiegła do owej chatki myśliwskiej.

A tymczasem Sternegg patrzył na konającego syna bezradny zrozpaczony, że nie jest w stanie nieść mu chociażby jakąkolwiek pomoc.

. . . .

Duszyczka Jasia uleciała do nieba.

Sternegg chciał podnieść się z klęczek i niemógł. Sparł się o łóżeczko dzieciny podniósł się w górę i znów runął na ziemię. Aż wreszcie zebrawszy wszystkie siły duszy i ciała powstał. jeszcze raz spojrzał z bolem na zwłoki swego pieszczoszka i szybkim krokiem przeszedł do swego pokoju.

Tu nie namyślając się nawet zerwał ze ściany dubeltówkę, nabił ją z całą dokładnością i ubrawszy kapelusz na głowę syknął przez zaciśnięte zęby:

— A teraz do niej!...

Oszukany i — zdradzony.

— Wasza wysokość naraża się dziś na wielkie niebezpieczeństwo — szepnął po cichu jeden z dwóch jeźdźców, którzy jechali wąską leśną drożyną — nadleśniczy Sternegg należy do tych ludzi, którzy są na wszystko przygotowani i nie wahają się przed niczem, byleby tylko mogli pomścić swą obrazę! Co do mnie, to bym się nigdy nie odważył następować mu na pięty!...

Książę Ferdynand, jedyny syn panującego księcia Ludwika, a zarazem następca tronu, wysoki, szczupły, tak z rysów twarzy wyrazistych choć delikatnych jak i z samej postaci przypominający klasycznych ludzi tak zwanej pełnej krwi, uśmiechnął się tylko pod wąsem na uwagę, jaką mu uczynił jego przyboczny adjutant hrabia Buchenau, mężczyzna liczący mniej więcej lat trzydzieści, a więc znacznie starszy od dwudziestoletniego księcia!

— Śmiej się z tego mój kochany hrabio i nie wspominaj mi nawet nic o niebezpieczeństwie. bo to mnie tylko podnieca, to czyni dla mnie tę kobietę bardziej pożądaną! A zresztą sam mi przyznasz, że dla tak zachwycającej kobiety jak Klara każdy naraziłby się na jak największe niebezpieczeństwo!...

— Wierzę! — odpowiedział z powagą hrabia — ale mimo to wasza wysokość powinna posłuchać mej uwagi i w tej chwili wrócić do domu! Wszak dostojny ojciec waszej wysokości poluje dzisiaj w tych lasach i wie doskonale o... marzeniach o... tej namiętności waszej wysokości!... On wie o tem, on, który moralność ceni ponad wszystkie cnoty, a miłostki uważa za hańbę dla każdego mężczyzny!...

— Wielkie mi rzeczy! — zawołał książę Ferdynand — o tem wszystkiem wiem doskonale! Wiem nawet, że to marszałek dworu Wurm zdradził mą tajemnicę przed ojcem. Ale i na mnie przyjdzie kolej! I ja potrafię się jemu odwdzięczyć!...

— Tak! — rzekł spokojnie hrabia Buchenau — znam charakter tego człowieka dokładnie i właśnie chciałem ostrzedz przed nim waszą wysokość. Wczoraj właśnie zauważyłem, jak rozmawiał on z hrabiną Landenberg, a hrabina Landenberg szpieguje waszą wysokość na każdym kroku!...

Tu adjutant księcia Ferdynanda nachylił się w siodle i szeptał mu wprost do ucha:

— Piękna hrabina jest zakochana po uszy w waszej książęcej mości i zdolna jest do wszystkiego, byleby zdołała pomścić się na swoich rywalkach! Przechodząc słyszałem, jak wyrażała się o księżniczce Elzie, którą dostojny ojciec waszej wysokości raczył przeznaczyć wam za żonę. Hrabina Landenberg jest nieubłaganą jej nieprzyjaciółką!...

— Dość! dość mój kochany Buchenau! — zawołał niecierpliwie książę — wiem o tem wszystkiem, ale ani to, ani też twoje przestrogi nie powstrzymają mnie od dzisiejszej wycieczki! Do widzenia, bo teraz pojadę sam naprzód, a pan bądź tak dobry i obejmij rolę mojej straży... tak tylnej jak i przedniej naturalnie. bo za chwilę zmienimy front w naszej wycieczce i zdobywszy niezbyt obronną twierdzę ruszymy jako zwycięzcy do domu!...

To rzekłszy książę Ferdynand ścisnął konia ostrogami i pomknął naprzód pełnym galopem.

. . . .

Ciemności nocne ogarnęły cały las a księżyc schowawszy się dyskretnie po za chmury zdawał się zachęcać ludzi do grzechu.

Wśród tych ciemności słabo zarysowywały się kontury małej chatki myśliwskiej stojącej na skraju niedużej polanki i wrzynającej się w gąszcz lasu.

Dokoła cisza i pustka.

Wtem wśród krzaków rozległ się przytłumiony szelest kroków i na polance ukazała się jakaś postać niewieścia.

W tej chwili księżyc wyglądnął z poza chmur i blady jego blask oświecił twarz tej postaci.

Była to Klara.

Przebiegła polankę ledwie palcami dotykając ziemi i stanęła przed chatką. Oglądnęła się szybko dokoła i wyjąwszy klucz z kieszeni otworzyła drzwi prowadzące do jej wnętrza.

Zatrzasnąć drzwi za sobą i ukryć się w cieniach nieoświetlonej chatki było dla niej dziełem jednej chwili...

. . . .

Klara zapala zwieszającą się u powały złotą lampę i rzuca się na kanapę.

W wspaniale urządzonej komnacie niema nikogo prócz niej i — wyrzutów jej sumienia.

A te wyrzuty szarpią jej serce, umysł i duszę, jak kruki ciało wisielca.

Szarpią, a jednak nie mogą zwyciężyć marzeń jakie się jej roją! Marzeń o szalonej miłości, którą płonie jej serce. marzeń o pięknym młodym księciu, który na jedno jej słówko, na jedno skinienie zrobiłby wszystko! Poświęcił nawet życie i koronę.

Klara przeciąga się na krytej złotogłowiem otomance i marzy.

A w tej chwili cichutko otwierają się drzwi komnaty i staje w nich wysoki, szczupły, złotowłosy młodzieniec z twarzą o rysach rzymskiego patrycyusza.

Klara pogrążona w marzeniach nie zauważa jego przybycia, a on skrada się ku kanapie cichaczem, klęka u stóp uwielbionej przez się kobiety i porywa ją w swe objęcia.

— Klaro! moja ty najdroższa! moje ty kochanie i marzenie! Śnie ty mój czarowny — szepce książę Ferdynad wpijając namiętnie swe wargi w koralowe usteczka pani Sternegg – gdybyś ty wiedziała jak ja cię kocham! jak szalenie cię kocham!...

Drobne rączki Klary jak dwa węże oplotły szyję młodego księcia i z ust jej wybiegł cichy szept przerywany pocałunkami:

– Ach książę! gdybyś ty wiedział. jak ja cię kocham i pożądam! Jak na twój widok, na każde twe słowo drgają me nerwy! Ach! gdybyś ty tylko o tem wiedział!...

Nie przebrzmiał jeszcze ten cichy szept, gdy ozwało się pukanie do drzwi i na progu stanął hrabia Buchenau.

— Na miłość boską! — krzyknął — uciekajcie państwo! Uciekajcie! Jego książęca mość nadchodzi tu z całym swym orszakiem! Jesteście zdradzeni! Rozumiecie?!

I Buchenau zniknął...

– Boże litościwy! — jęknęła Klara, załamując ręce z rozpaczą. — Cóż poczniemy teraz? Gdzie się skryjemy?!...

A przed chatką na polanie słychać już było kroki i gwar rozmowy.

Książę Ferdynand nie wahał się długo. Gwałtownym ruchem otworzył okno wychodzące do lasu — skoczył i znikł wśród gęstwiny krzewów.

W tej samej prawie chwili w drzwiach wiodących do komnaty ukazał się na czele licznego orszaku dworzan i strzelców książę Ludwik, wysoki mężczyzna o czarnych, płonących oczach i twarzy okolonej siwiejącą już długą brodą.

Jednym rzutem oka objął cały pokój i surowe spojrzenie utkwił w drżącej ze strachu Klarze.

— Ciekawym pani nadleśniczyno — rzekł z naciskiem — co panią właściwie tu sprowadza? Przyznam, że nie spodziewałem się zastać panią tutaj! Czy może przypadkiem zabłąkałaś się pani tutaj? Co?! Proszę! ja czekam na odpowiedź!...

— Wasza dostojność — poczęła jąkać się Klara Sternegg — ja... ja chciałam... musiałam... ja... ja ja czekam tu na mego męża!...

I po tych słowach młoda kobieta przerażona, wyczerpana usunęła się na ziemię, jak topola podcięta siekierą drwala.

W tej samej chwili otworzyły się szarpnięte gwałtownie drzwi komnaty i wbiegł do niej jakiś człowiek.

Wzrok jego rzucał błyskawice. Z kordelasem w ręku rzucił się nowoprzybyły na księcia Ludwika i zatapiając ostrze jego w piersi starca, krzyknął strasznym głosem:

— To zapłata, na jaką mnie tylko stać nędzny uwodzicielu!...

A Klara, która tymczasem przyszedłszy do siebie chciała się podnieść, na widok tego człowieka padła znów na podłogę i kryjąc twarz w dywanie zawołała ze zgrozą:

— Boże! To mój mąż!...

Prawie w tej samej chwili do komnaty, w której rozgrywała się ta straszna scena wpadł hrabia Buchenau z adjutantem księcia Ludwika baronem Wettersteinem.

Zrazu obaj panowie nie dostrzegli co się dzieje i dopiero gdy Sternegg schyliwszy się nad zbroczonym krwią księciem cisnął o ziemię kordelas wołając:

— Boże! com ja uczynił! Przecież to nie książę Ferdynand!"...

Zrozumieli całą tragedyę.

— Brać go! Wiązać mordercę! — krzyknął baron Wetterstein, a na ten rozkaz strzelcy rzucili się ławą na nieszczęsnego nadleśniczego. Dwanaście par rąk opasało jego ciało i powaliło go o ziemię.

Ale ból i rozpacz potroiły siły Sternegga. Wyrwał się strzelcom i przyskoczył do Klary.

— To twoje dzieło — krzyknął nieludzkim głosem, wskazując na leżącego księcia — na twoje sumienie spada ta krew nędznico! Tyś mnie doprowadziła do tego! To twoja, nie moja zbrodnia!... Złamałaś mi serce i życie, do ręki włożyłaś mi nóż morderczy, mnie, który cię tak ukochałem, który dla ciebie bym krew swą wszystką wytoczył! Ale zapłacisz ty mi za to! Giń marnie, tak marnie jak żyłaś!...

I biedny szalejący z bolu Sternegg uchwycił oburącz Klarę za gardło, aż piękna jej twarz zsiniała i żyły wystąpiły na czoło.

Jeszcze jedno mgnienie oka była by pewnie skończyła w tym żelaznym uścisku, gdyby nie baron Wetterstein, który oprzytomniawszy wraz ze strzelcami księcia rzucił się na Sternegga i oderwał go od nowej ofiary.

W tem do komnaty wpadł jak burza młody książę Ferdynand.

— Ach! więc to prawda! — krzyknął przerażony, dostrzegłszy zbroczonego krwią ojca, którego hrabia Buchenau starał się wszelkiemi sposobami ocucić. — Ojcze! ojcze mój drogi, więc w twoją pierś ugodził nóż morderczy!..

I młody książę padł na kolana przy bezwładnem ciele księcia Ludwika, gdy nagle usunęła go dłoń nadwornego lekarza, który biorąc udział w polowaniu książęcem w tej chwili został uwiadomiony o wypadku.

Lekarz pochylił się nad leżącym bez ruchu księciem i zdarłszy z niego mundur zaczął badać krwawiącą wciąż ranę.

Książę Ludwik zajęczał boleśnie.

— Chwała Bogu! — szepnął lekarz — żyje! Rana ciężka i głęboka, ale przecież Bóg jest litościwy!...

— Żyje! żyje! — ten cichy szept przeleciał z ust do ust.

Książę Ferdynand podniósł się z klęczek.

— Chwała Bogu! — szepnął i w tej chwili wzrok jego padł na skrępowanego powrozami nadleśniczego.

— Och ty!... ty nędzny uwodzicielu! – zasyczał Sternegg z wściekłością, wyswabając się z rąk przytrzymującej go służby — chodź! zbliż się tutaj niech ci zapłacę za moją hańbę! Niech ci przy-

najmniej w oczy plunę, jeśli nie mogę już kindżału zatopić w twej bezdusznej piersi!...

Ale strzelcy trzymali go tak silnie, że nie mógł się im wyrwać w żaden sposób.

Książę Ferdynand nie odpowiedział mu ani słowa, tylko rumieniąc się ze wstydu szepnął do hrabiego Buchenau:

— Zabierzcież stąd tego szaleńca!...

I z tymi słowy wyszedł z chatki, przed którą tłum gości, zaproszonych na polowanie i służby dworskiej z niepokojem oczekiwał wieści o stanie księcia Ludwika i cichaczem szeptał sobie najrozmaitsze plotki, dotyczące tragedyi, jaka się dopiero co rozegrała.

Na widok księcia Ferdynanda szmer rozmów ucichł i nastała cisza, jakby kto makiem zasiał.

A książę kilku słowami uspokoiwszy tłum kazał sobie przyprowadzić wierzchowca.

Tymczasem z chatki na tej otomance, na której przed godziną Klara spoczywała w objęciach kochanka, wyniesiono rannego księcia, któremu lekarz prowizorycznie zaopatrzył ranę.

I zwolna opustoszała chatka myśliwska. Pozostała w niej tylko Klara oszołomiona tem, co zaszło, prawie nieprzytomna.

Została sama! Nikt nie zatroszczył się o nią, nikt na nią nie zwrócił uwagi! Wszyscy ją opuścili, wszyscy! Nawet książę Ferdynand nie znalazł dla niej słowa pociechy, nie spojrzał nawet w jej stronę.

W gmach cudnych marzeń, który tak niedawno wyśniła, uderzył piorun i cała budowa rozsypała się w gruzy!...

I nagle na myśl przyszedł jej biedny chory Janeczek.

— Boże! — pomyślała — a gdyby on tak umarł tam teraz! Niech się dzieje co chce, muszę wrócić do domu!...

Lecz mimo tego postanowienia, mimo swych obaw i złych przeczuć, jakie dręczyły jej serce musiała jeszcze pozostać w chatce, bo nie była w stanie wyjść i narazić się na ciekawe spojrzenia gawiedzi, na jej dwuznaczne szepty i na tajone niby śmiechy, które bodłyby gorzej jej serce, niż noże.

A tymczasem kiedy książę Ferdynand dosiadał konia, hrabia Buchenau szepnął mu do ucha.

— Patrz wasza wysokość! Oto tam stoi ten, który was zdradził!...

I to mówiąc, wskazał na wysokiego mężczyznę ustrojonego w suto haftowany złotem mundur nadwornego marszałka.

Mężczyzna ten noszący miano hrabiego Wurma, był typem dyplomatydworaka. Jego ruchliwa gładko ogolona twarz, rozjaśniona jedynie parą przenikliwych wciąż niespokojnie na wsze strony latających oczu, zdolna była stosownie do okoliczności to przybierać wyraz uniżoności i lęku, to znów stroić się w dumę i nieugiętość. Zniszczona cera i zapuchłe powieki zdradzały w nim najrozpustniejszego lubieżnika, a wąskie dłonie o długich kościstych palcach, nerwowym ruchem skubały krzyż orderowy zawieszony na złotej wstędze pod szyją.

— Przypomina sobie wasza wysokość moje ostrzeżenie? — szeptał dalej hrabia Buchenau — głowę moją zaraz dam za to, że przyczyną całej tej katastrofy jest hrabia Wurm w swej własnej godnej oplucia, lub obicia osóbce.

Książę Ferdynand spojrzał pytająco na swego adjutanta. Naturalnie, że on, a nikt inny — tłumaczył księciu hrabia — on to dowiedział się o schadzce waszej wysokości z panią Klarą i powiedział to waszemu dostojnemu ojcu... Swoją drogą że skutkiem tej intrygi ocalił życie waszej wysokości, gdyż cios, który ugodził jego dostojność księcia Ludwika był dla was przeznaczony mój książę!

Ferdynand spojrzał z podełba na Wurma i syknął przez zęby:

— No ty dyplomatyczna kukiełko! porachujemy my się jutro! porachujemy i to jak najdokładniej!...

I już książę chciał spiąć ostrogami rumaka, gdy wśród tłumu dworzan i strzelców zakotłowało się znowu. Zbita masa ludzi jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozstąpiła się nagle tworząc szpaler, którym biegła zalana łzami Hania Sternegg z rozwianym włosem.

Wzrok jej padł na ojca skrępowanego powrozami i na żałobny orszak wychodzący z chatki wraz z rannym księciem Ludwikiem dźwiganym przez strzelców na otomanie.

Odrazu zrozumiała wszystko, pojęła, że nowy grom spadł na jej rodzinę.

— Boże! — jęknęła — ojcze, mój ojcze i cóżeś ty dobrego uczynił?...

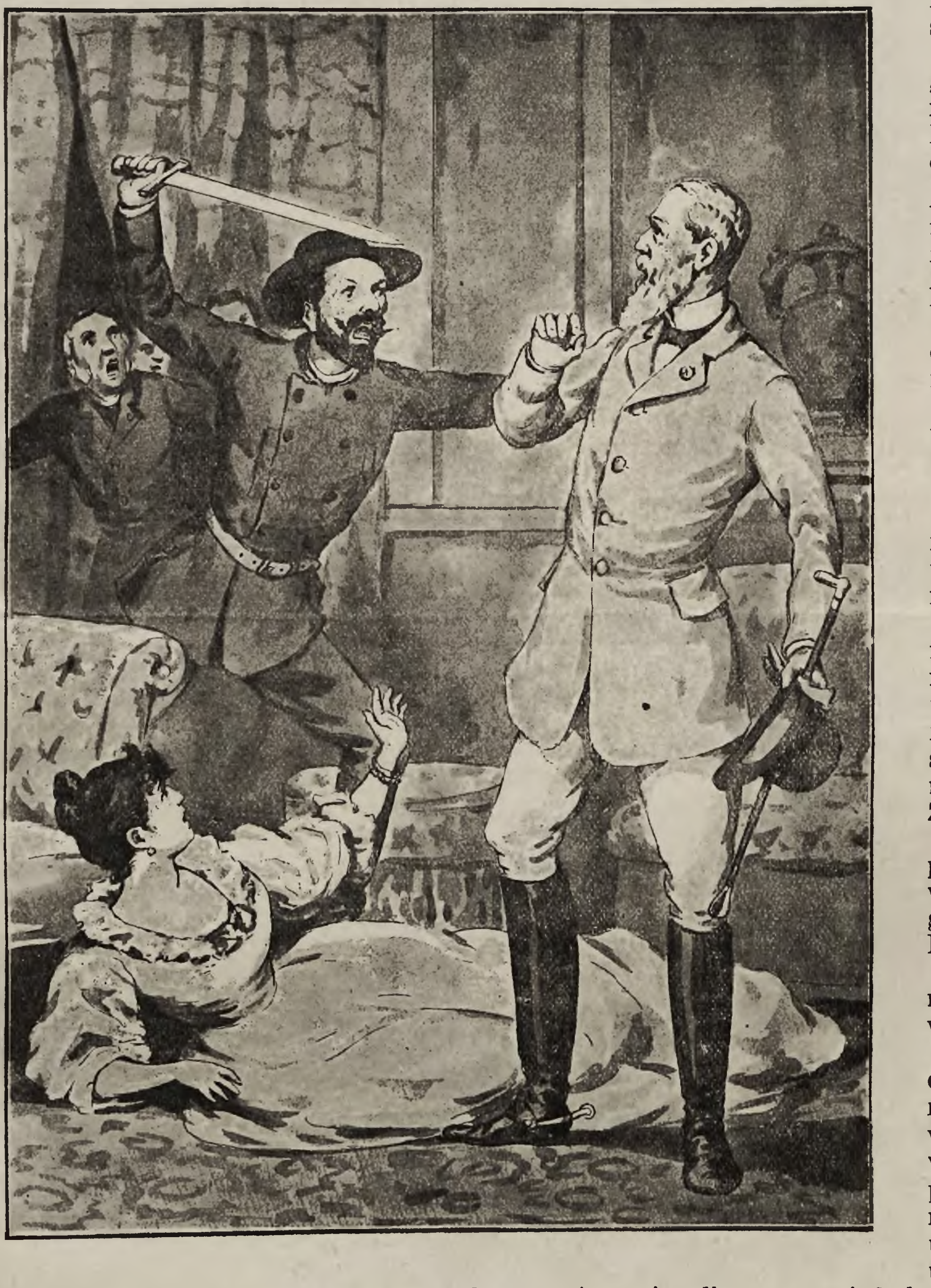
— Więc i ty mnie potępiasz dziecino! odezwał się głuchym głosem nieszczęśliwy Sternegg — więc i ty oburzasz się zamiast nieść mi słowo pociechy?!

— Nie! nie! — zawołało biedne dziewczę, nie potępiam cię, tylko boleję nad twym losem!.. Och! czemużem się spóźniła! Dlaczego nie zdołałam uprzedzić tę straszną chwilę!... Co teraz będzie? Co nas czeka?

I Hania uchwyciła rumaka księcia Ferdynanda za cugle.

— Łaski! Łaski! Każ mego ojca puścić wolno! Nie pozwól, by go zamknięto w więzieniu!..

Książę Ferdynand ze wzruszeniem spojrzał na



zalaną łzami dziewczynę, ale z ust jego niepadło ani jedno słowo pociechy. W tej chwili służba ujęła Hanię pod ramiona i odciągnęła ją na bok.

— Łaski! łaski! — jęczała dziewczyna, której łkanie szarpało dziewicze piersi — łaski dla mego nieszczęśliwego ojca!...

Potok łez trysnął z jej oczu, a książę Ferdynand z litością spojrzał na biedne dziewczę. Czuł, że zawinił wobec niej ciężko, ale nie mógł się zdecydować choćby na jedno słowo pociechy.

Szybko spiął konia i ruszył prawie galopem z miejsca. A za nim biegł pełen rozpaczy jęk Hani:

— Łaski! łaski!...

Służba brutalnie odepchnęła Hanię rwącą się do skrępowanego powrozami ojca.

— Bywaj zdrowa ma córko! — jęknął Sternegg — bywaj mi zdrowa i żegnaj, bo jeśli jeszcze się kiedy zobaczymy, to chyba w niebie...

Cała groza położenia ojca teraz dopiero stanęła przed oczyma Hani. Zrozumiała, że czeka go śmierć haniebna z ręki kata, i z piersi jej wyrwał się rozpaczliwy jęk boleści...

W tej chwili ktoś ujął ją za rękę i syczącym niemiłym głosem wyszeptał do ucha:

— Uspokój się moja pieszczoszko! uspokój się! Twemu ojcu ani włos z głowy nie spadnie, jeśli tylko ja za nim słówko przemówię. Książę Ludwik żyje i zapewne wkrótce wyzdrowieje. Przyjdź zatem jutro do mnie do zamku, a zobaczymy... Może się da coś zrobić dla twego ojca, jeśli tylko ty nie będziesz za głupia!

Hania obejrzała się na mówiącego, ale zobaczywszy przed sobą marszałka, hrabiego Wurma, wzdrygnęła się ze wstrętem i usunęła na bok.

Pan marszałek tymczasem uśmiechnął się do niej przyjaźnie i ręką dał jej jeszcze raz znak, aby nazajutrz stawiła się na pewne w zamku.

— Jutro na zamku? — pomyślała Hania, widząc te znaki dawane przez hrabiego Wurma — dobrze! samemu księciu padnę do nóg i będę go błagać o łaskę dla ojca.

Na zamku książęcym.

Łagodne blaski chylącego się ku zachodowi słońca przecierały się przez cieniuchne jak pajęczyna jedwabne firanki zasłaniające okna z wschodnim przepychem urządzonej sypialni, w której na wspaniałem ogromnem łożu spoczywał książę Ludwik.

Tuż obok łoża księcia stała bogato strojna starsza już dama o twarzy poważnej pełnej dobroci z wielkiemi niebieskiemi oczyma teraz zaczerwienionemi od płaczu.

Rana, jaką biedny Sternegg zadał księciu była prawie nieznaczną i lekarze zaręczali, że śladu z niej niebawem nie pozostanie, jeśli tylko książę zachowa zupełny spokój.

Ale książę Ludwik, przywykły do czynnego życia, nie mógł spokojnie uleżeć w swem łożu.

— Chciałbym się rozmówić raz wreszcie z Ferdynandem — zwrócił się do żony — powinien już tu przyjść na koniec!...

— Boję się tylko, czy cię ta rozmowa nie wzruszy zanadto — szepnęła łagodnie księżna — lekarze nakazali ci spokój...

— Będę spokojny, bo umiem panować nad sobą! Z Ferdynandem rozmówić się muszę, bo jego postępowanie wzbudza we mnie wstręt i odrazę. Muszę przyspieszyć jego zamęście z księżniczką Elzą, bo dość już mam tej jego donżuaneryi! Ale pst!... Zdaje mi się, że to on nadchodzi!...

Istotnie drzwi otworzyły się i w progu z miną poczuwającego się do winy choć nie bardzo skruszonego grzesznika ukazał się młody książę Ferdynand.

Wszedł, szybko ucałował rękę matki i siadł na znak dany przez ojca w fotelu stojącym obok łoża.

— Twoje postępowanie Ferdynandzie sprawia nam nie mało boleści! — rzekł poważnie książę Ludwik — wszak pamiętasz, że kiedy tylko dowiedziałem się o twoim romansie z tą panią nadleśniczyną, kazałem ci zerwać ten stosunek. Gdybyś był to uczynił, gdybyś był rozkazu mego usłuchał, wczorajszą tak straszna scena nigdy by była nie zaszła i ja nie odniósłbym był ciosu dla ciebie przeznaczonego. Dla ciebie powtarzam wyraźnie; bo wiem, że byłeś w chatce myśliwskiej i że uciekłeś z niej w chwili, gdy ja do niej wchodziłem!...

— Tak! — odparł z ironią książę — informacye twoje ojcze są świetne, ale ja znam informatora i oświadczam, że cała wina wczorajszego zajścia spada na niego, tylko na niego!...

— Nie na niego, lecz na ciebie! — krzyknął gniewnie stary książę — tyś powinien był pomyśleć, jak straszne skutki mogła spowodować twoja lekkomyślność!...

— To dobre! a czyż ja mogłem przypuszczać, że taki Sternegg ośmieli się podnieść rękę na mnie lub na waszą wysokość?!

— To znaczy: sądziłeś, że jako książę bezkarnie mogłeś biednego człowieka okraść z czci i wiary, że mogłeś jak prosty zbój wyrwać to, co było mu najdroższem! — zawołał oburzony ojciec.

— O nigdy nie myślałem, żeby mój syn, którego mimo wszystko uważałem za szlachetnego, mógł być tak podły!... C. d. n.

Pomnik Katarzyny II.

Jeśli miarą wartości i zasług ludzkich miałyby być pomniki, to chyba osławiona caryca Katarzyna II nigdy niedoczekałaby się nawet złomka najpospolitszego piaskowca — ale, że pomniki zwłaszcza w państwie knuta i nahajki stawiają przeważnie Murawiewom i tym podobnym, więc, nic dziwnego, że i caryca Katarzyna została w taki sposób uczczoną.

Caryca otrzymała świeży pomnik!

Czy ogółem taka smutnej sławy bohaterka posiada pomnik, czy nie, to małoby nas obchodziło — nad faktem uczczenia jej w sposób, w jaki czci się tylko zasłużonych ludzi, przeszlibyśmy do porządku dziennego, gdyby ten pomnik stanął na rosyjskiej ziemi, ale nie możemy pominąć milczeniem tego, gdy czynownicza swołocz w polskiej krainie stawia marmurowe posągi Katarzynie II!... W Wilnie stanął pomnik tej, która potoki krwi polskiej przelała, na której rozkaz z wolnego i niepodległego kraju porywano biskupów i dygnitarzy, aby ich słać na wygnanie za Ural! Postawiono pomnik tej, która ojczyznę naszą podarła w strzępy!



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Piechota rosyjska w okopach twierdzy portarturskiej.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Oku, bohater z pod Liaojanu.

Rozpisywać się nad takim „czynem" i „dziełem" Moskali niepotrzebujemy, każdy czuje dobrze to naigrawanie się kata z najświętszych uczuć naszych i rozumie, że ten pomnik przyczyni się nie — jak to wygłaszał czynowniczy minister — do zjednoczenia się dwóch ludów, ale do podtrzymania ognia wiecznej i strasznej nienawiści, jaka płonąć musi w sercu każdego Polaka do tych, co rozdrapują wciąż niezabliźnione rany naszej ojczyzny.

Nie potrzebujemy rozpisywać się o owych "Polakach" z nazwiska, o tych potomkach Targowiczan, którzy na skinienie ministra „dali w pysk własnemu duchowi", sami opluli sobie twarz i poszli składać hołd carycy w dniu odsłonięcia jej pomnika.

— „Powiedz mi z kim się witasz, powiem ci kim jesteś" — rzekł pewien filozof. Stosując to zdanie do tej uherbowanej bandy, wiemy kim są ci, którzy odważyli się wraz z czynownikami rosyjskimi korzyć się przed pomnikiem rynsztokowej damy. Niech ci potomkowie Targowiczan pamiętają, że ciała ich przodków, od których daleko nie odeszli, zdobiły latarnie na ulicach Warszawy.

Jeśli zaś podajemy tu illustracyę przedstawiającą hołd składany carycy, to tylko dlatego, aby społeczeństwo nasze mogło nabyć wyobrażenia, jaki to tłum korzył się w Wilnie przed osławioną Katarzyną!...

Z wojny rosyjsko - japońskiej.

W Mandżuryi. Z pól mandżurskich mało dobiega nas wieści. Spodziewana wciąż rozstrzygająca bitwa pod Mukdenem dotychczas nie nastąpiła i — jak się zdaje — nie nastąpi, gdyż jenerał Kuropatkin, według doniesień francuskich i angielskich dzienników, posiadających najlepsze wiadomości, postanowił linię operacyjną przenieść do Tienlingu.

Na mandżurskim terenie wojennym panuje zatem cisza, przerywana jedynie strzałami straży przednich obu walczących armii, strzałami, które swoją drogą padają często i gęsto. Więc na drodze, prowadzącej do Mukdenu pomiędzy miejscowością Fuadianem a Siudą, kozacy jenerała Miszczenki prawie codzień staczają potyczki z japońską kawalerią, cofając się dopiero wtedy, gdy na widnokręgu z poza pagórków błysną karabinowe lufy japońskiej piechoty.



Z wojny ros.-jap.: Dzang-Dzoung wraz z swą honorową eskortą.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Oskar Grippenberg, nowo mianowany komendant drugiej armii mandżurskiej.

Ale w utarczkach takich codziennych nie tylko kawalerya nadstawia piersi.

Około Pingtaise ścierają się już przednie straże piechoty japońskiej z syberyjskimi strzelcami i to z rozmaitym wynikiem, zależnym od chwilowej przewagi liczebnej tej lub owej strony walczącej...

A tymczasem *gros* wojsk rosyjskich i japońskich bynajmniej nie oddaje się bezczynności. — O ile rosyjska armia stosownie do rozkazów jenerała Kuropatkina zajęta jest umacnianiem swoich stanowisk pod Mukdenem i Tienlingiem, o ile cały sztab rosyjski pracuje nad ufortyfikowaniem tej linii operacyjnej, wznoszeniem szańców, budowaniem bateryi, fortów polowych i zakładaniem min, o tyle marszałek



Z wojny ros.-jap.: Japończycy, zataczający działa na pozycye, zdobyte pod Portem Artura, zwane Wilczem wzgórzom.

Oyama, zaznaczając słaby i powolny ruch na froncie swych armii, stara się oskrzydlić nieprzyjacielskie pozycye. — Dywizye jenerała Kurokiego i dywizye jenerała Oku, który pod Liaojanem odznaczył się takiem bohaterstwem i pierwszy zrobił wyłom w linii rosyjskiej, wykonują cały szereg marszów i kontrmarszów, a jedynym celem tych ruchów jest oskrzydlenie wojsk strony przeciwnej. Tyle o taktycznych działaniach na placu boju. Ciekawsze jednak są inne wiadomości, które z Niuczwangu podaje korespondent londyńskiego „Standarda". Jego zdaniem nadeszła chwila, w której fizyognomia walki musi się zmienić koniecznie i to pod wpływem atmosferycznym.

Już teraz rozpoczęły się w Mandżuryi lekkie mrozy, a nadchodząca zima zmieni kompletnie postać walki, bo raz zmarznięta ziemia uniemożliwi wszelkie fortyfikowanie linii bojowych, a po drugie dokuczliwe zimno zmusi żołnierzy do używania cieplejszych mundurów krępujących im ruchy.



Z wojny ros.-jap.: Adm. ks. Uchtomskij, wyrokiem sądu wojennego usunięty od komendy.

Ale „Standard" wyraża jeszcze ciekawsze zapatrywania: oto zachodzi obawa, czy kolej syberyjska będzie w stanie zaopatrzyć w opał i środki żywności armie jenerała Kuropatkina. Zbiory w północnej Mandżuryi, w której operują wojska rosyjskie, są bardzo liche i na nic intendantura liczyć nie może.

Natomiast armie japońskie, zająwszy Liaojan, posiadają w swych rękach południową część kraju, gdzie zbiory były bardzo obfite, a prócz tego lada dzień zostanie wykończone kolejowe połączenie Liaojanu z portem Dalnym, skutkiem czego zaopatrzenie wojsk będzie ogromnie ułatwione.

Stąd wniosek, że, gdyby istotnie kolej syberyjska nie mogła szybko spełniać swego zadania, lub nie była w stanie spełnić ich w całości, położenie jenerała Kuropatkina byłoby wprost rozpaczliwe, gdyż musiałby walczyć i z Japończykami i z widmem głodu...



Dzang-Dzoung. Jenerał Kuropatkin.
Z wojny ros.-jap.: Dzang-Dzoung oprowadza jen. Kuropatkina i jego sztab po Mukdenie.

Ale o tem chyba sztab petersburski pamięta i potrafi takiej ewentualności zapobiedz...

Pod Portem Artura. Pod twierdzą portarturską sytuacya dotychczas niezmieniona. Dniem i nocą wre tam bój zacięty, dniem i nocą huczą ponure działa. Zaciętość rośnie z obu stron; walczący nie dają sobie pardonu i o pardon wcale nie proszą. Piechota rosyjska ukryta w okopach, celnymi strzałami razi Japończyków, a gdy ci z bagnetem w ręku starają się wyprzeć ją ze zajmowanych pozycyi, wszczynają się straszne na białą broń, pięści i zęby walki, tak zacięte, że trupy poległych na wałach żołnierzy tworzą drugi wał fortyfikacyjny.



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Hasegawa, desygnowany na gubernatora Mandżuryi.

Żołnierze z obu stron dokazują cudów bohaterstwa...

Czwarta dywizya rosyjska, która pod komendą jenerała Focka dwa miesiące ze wściekłym uporem broniła obwarowania na t. zw. Wilczem wzgórzu, zanim ostatecznie Japończycy, zdobywszy tę dominującą pozycyę, mimo skoncentrowanego ognia armat rosyjskich, zatoczyli tam swe działa, musiała pod gradem kól nieprzyjacielskich przedefilować przed generałem Stoesslem... (Ciąg dalszy na str. 20).

Ze świata

Fejleton składany.

(*n. n.*) Jako Dardanus zabił Attylę szachownicą tak elektrodajny Domański zaszachował i zatalardował Sarego. Ta druga dardańska wiktoria przejdzie do Biblii i stanie w jednej linii ze zburzeniem Jeruzalem jako pogrom judaizmu. Ani porcelanowy dandiner Leo generosus, ani sybarytyzmem jak gęś kluskami nadziany Michajło Chyliński, ani cudotwórca Kany galicyjskiej łysowaty zewnątrz i wewnątrz Federowicz, nie zdołali przeszkodzić delożowaniu Sarego z zajmowanej już duchem posady wiceprezydenta. Nie pomogły nawet modlitwy królującego w niebiesiech sekretarza konsorcyum, Cyfrowicza. Talardowy mąż zerwał moderamen asinorum i etablował się na trzecim stolcu.

A jednocześnie Societas Artium ze Szczepańskiego placu wzięła między członki hrabiego Edwarda i Marjusza Sokołowskiego. Obaj ci panowie zostali honorowymi. Conte Eduardo za to został honorowym, że choć mógł, nie bronił biblioteki Raczyńskich od germanizacyi. Gwizdnął na patryotyzm, a parazyty farbiarskie skrzeczą lamentosc: nadstaw a poliżem — *omnis spes nostra reposita est in furoribus tuis.* Masz złoto, toś wielki i wepchniem cię na tympanon, byleś sypał franki. Istne Quintumnusy piołunowego Gargetty pełzające w distorsyach u stóp szierującego Mamonidy.

A Maryusz? Ten już od abundancyi honorów ruszać się nie może. Objuczony niemi, stłamszony, bokobity jak szkapa Karotuna! Tylko tamta żarła osty przydrożne, a Maryusz pasie się na antrkotach protekcyi badeniowskiej. *Governo della famiglia!* Podobno dyplom honorowy szykuje dla niego *Ecole de danse de Mme Vitkay* za położone dawniej zasługi dla narodowego baletu.

* * *

...(*W. K.*) „*Journal*“ przyniósł nową fantazyę uczonego astronoma Verne'a. Autor przepowiada co będzie we Francyi w r. 6983 od stworzenia świata (według chrześciańskiego obliczenia) co się równa r. 2745 po nar. Chrystusa. Cała środkowa Francya będzie pod wodą a całego Paryża będzie widać tylko ośm pagórków. Na najwyższym szczycie Montmartru stać będzie latarnia morska obsługiwana przez małżeństwo. Gdzie oko padnie widać tylko szerokie morze. W czasach, w których stał się ten przewrót, zaszła tak wielka zmiana wśród ludzi i ich stosunków....

„Żono, coś jedzie“ — woła urywkowo strażnik elektrycznej latarni na Montmartre.

„Jestto wagon balonowy z Tahiti“ — odpowiada żona i chowa się przed cudzoziemcami.

Pociąg balonowy zbliżył się, a z niego wyszło liczne towarzystwo pań i panów; wszyscy jednakowo byli ubrani i uczesani tak, że na pierwszy rzut oka trudno płeć rozeznać. Dowódzca wyprawy najmuje łódź i każe się z całem towarzystwem wozić naokoło Montmartre, przyczem tak objaśnia:

„Siedem wysepek, które tu widzicie, jest resztką istniejącego niegdyś miasta Paryża. Ocean atlantycki wykonał swoje dzieło: Każdego roku wznosił się regularnie wyżej o 78 centimetrów — na tyle też ustępowała ziemia. Najdłużej trzymała się Bretania — jeszcze do dziś sterczą po niej skały wapienne. Z Paryżem miał ocean znacznie mniejszą pracę — miasto bowiem leżało tylko o 20 metrów nad poziom morza — wtargnęło ono naprzód korytem Sekwany. Tak zginęło miasto, które było sławnem w starożytnych dziejach, miasto, które jednak nie da się porównać z naszemi wielkiemi miastami; naprzeciw olbrzymich miast naszych, Paryż gdyby istniał, byłby naszą wsią, mającą 8—10 piętrowe domy, 60 metrowe pomniki, a kamienice w wysokości zaledwie 20 do 30 metrów. Paryż i środkowa Francya doczekały się tego samego losu, który poprzednio stał się udziałem wielkiego kontyngentu „*Atlantis*“; wtedy to zaginął pod wodą cały pas lądu, który Anglię z Francyą łączył w jedną całość, kiedy jeszcze nie było kanału Lamanche“.

Podczas tego wykładu odważyła się wyjść z mieszkania żona strażnika latarni elektrycznej. Mówiła jeszcze niby językiem francuzkim, ale znała tylko pojedyńcze słowa, których nie łączyła ze sobą. Całe towarzystwo zbliżyło się do niej, aby zobaczyć ten ciekawy zabytek starych czasów.

Jestto naturalnie fantazya Verne'a, ale oparta na obserwacyi z lat kilkudziesięciu, dowodzących, że ziemia nadmorska pomału się usuwa, że ocean rzeczywiście czyni drobne ale stałe postępy. Niemiła więc perspektywa dla Paryża. My w Krakowie wzniesieni o X... metrów nad poziom morza możemy jeszcze doczekać roku 5000 po nar. Chrystusa — ale wtedy też przyjedzie ktoś z Tahiti balonem, zatrzyma się na kopcu Kościuszki lub Krakusa i będzie opowiadał:

„Tu było starożytne miasto Kraków, ojczyzna wielkich mężów starożytności jak Lea, Rottera, Horowitza, Chylińskiego, Bobilewicza, Markusa. Oto miejsce gdzie stał najpóźniej zalany Wawel, zamek z katedrą, mieszczącą groby królów i rabinów. Równą sławą szczycił się uniwersytet, który wydał filozofa Straszewskiego, oraz zakład Hawełki, który wydał pana Franciszka. Tam na prawo, w budynku zwanym „Budą“ lub „Theatrum“ stał posąg bogini Lucyny. Z całego miasta nic nie zostało, prócz zapachu, przed którym jak widzę i teraz jeszcze nosy zatykacie. Wtargnięcie wód morskich miało tylko jedną dobrą stronę, a mianowicie od tej chwili sadzawka Bąkowskiego nie może się skarżyć na brak wody i odpowiada swemu przeznaczeniu....“.

* * *

(*K-z.*) Jak wiadomo, kuchnia francuzka jest uważana za najlepszą. Francuzi też się nią chlubią i piszą o niej pamiętniki.

Do założycieli francuskiej kuchni należy Grimaud de la Regnière, który pierwszy kodyfikował kuchenne recepty i wydał je w książce: Almanach des gourmands on calendrier amtritif, którą można zrównać z „Prawidłami poetyki“ Boileau'a. Co Boileau w poezyi to Grimaud w kucharstwie, mówiło się w XVIII w.

Grimaud pochodził ze „znakomitej“ rodziny. Dziad jego udławił się pasztetem z gęsich wątróbek, ojciec był znanym smakoszem, najlepszym znawcą jedzenia i picia. Ale syn i wnuk przeszedł dziada i ojca.

Raz stary Grimaud zaszedł do restauracyi na prowincyi, wszedł prosto do kuchni i widząc 8 zabitych kurcząt, kazał sobie usmażyć z nich parę. „Nie mogę tego uczynić — rzekła kucharka — bo jeden pan, siedzący w restauracyi, wszystkie ośm zamówił.“ — Jakto? ośm? — zawołał Grimod. — Radbym go zobaczyć. — I zobaczył swego syna.

— Na co tobie 8 kurcząt?

— Kazałem sobie zrobić talerz ragout — z każdego kurczęcia wyjmą dla mnie tylko jeden kawałek.

Syn Grimod założył restauracyę za pierwszej republiki, ale był zawsze zwolennikiem „ancien regime“. Republikę tak scharakteryzował:

— Za czasów władzy ludu nie można było kupić na targu porządnego węgorza.

W swoim kalendarzu umieścił między przepisami dużo głębokich maksym. Oto z nich niektóre:

„Liczby 13 gości kucharz obawiać się nie potrzebuje, byleby przygotował jedzenie na 12 osób“.

„Trzech rzeczy należy się wystrzegać: kwaśnego wina, źle ułożonego menu i muzyki przy obiedzie.“

„Po uczcie powinni iść goście do kuchni, aby podziękować.“

„Powiedz mi co, jak i z kim jadasz, a ja ci powiem, kto jesteś.“

„Kto innym daje jeść, ten sam musi pić.“

* * *

(*W-k.*) „Kölnische Zeitung“ donosi, że pewien rolnik z Eversvinkeln, który nigdy za granicę swego państwa nie wychodził, ożeniwszy się, postanowił z młodą małżonką odbyć podróż poślubną po krajach nadreńskich. Pierwszą noc spędzili w Düsseldorfie. Na młodym żonkosiu nie zrobiły żadnego wrażenia ani zamki nadreńskie, ani cudne okolice — wszędzie tylko przyglądał się jakie są urodzaje.

— E! tutaj – powiedział, wstając z łóżka w Düsseldorfie — urodzaj jeszcze gorszy, niżeli u nas. Po co mamy dalej jechać? Wróćmy się Elżbietko!

I małżonka, choć z wielką niechęcią, musiała się zgodzić na powrót do progów domowych.

* * *

Woda morska nie wszędzie jest jednakowo słona. Więcej soli ma koło równika, więcej też w głębinie niż w górnych warstwach.

Bałtyk zawiera 1% soli, morze północne ma jej $1\frac{1}{2}$%, morze czarne 4%, a Atlantyk 2 do 3%. Gdybyśmy całą wodę morską wyparowali i otrzymaną sól wynieśli na powierzchnię ziemi, to ląd stały byłby pokryty 13-metrową warstwą soli.

Więc chyba lepiej nie wyparowywać, a zadawalać się solą z Wieliczki i słonemi rachunkami aptekarskimi, adwokackimi i restauracyjnymi z Grand-Hotelu.

* * *

(*K-z*). Co się stać może przyzwoitym kobietom w Berlinie? Jak sądzicie? Myślicie może, że ją gotów policyant wziąść za osobę złego prowadzenia się i aresztować? Ha i to być może, ale to niestety trafia się wszędzie. Wszędzie również jaki donżuan porządną kobietę zaczepi, wszędzie jej jaki elegancki rzezimieszek przyjdzie z pomocą przy wysiadaniu z tramwaju i przy sposobności woreczek z pieniądzmi ukradnie, wszędzie ją może pijak potrącić i zwymyślać, wszędzie jej może krótkowidzący własny mąż zaproponować odprowadzenie do domu, wszędzie ją może najechać zatracony cyklista — itd. itd. Ale w Berlinie czeka ją jeszcze co innego.

Żona norweskiego ministra Blehva i pani Marya Kempe, małżonka pułkownika szwedzkiego, urodzona niemka, brały udział w międzynarodowym zjeździe kobiet w Berlinie, potem podróżowały po Europie i znowu o Berlin zawadziły. Znajdując się w jednym z publicznych parków, zaszły do istniejącego w nim pawilonu restauracyjnego, siadły przy stoliku i zażądały Speisezetlu.

Kelner rzucił na nie groźnym wzrokiem i krótko oświadczył: „U nas nie daje się potraw kobietom nie będącym w towarzystwie mężczyzn!“

— Ależ to niesłychane! — zawołała ministrowa i kazała się zaprowadzić do gospodarza.

Gospodarz wysłuchał zażalenia, ale chociaż widział, że obie damy są osoby starsze, z lepszego towarzystwa, odpowiedział grzecznie, ale stanowczo, że dla samotnych dam niema miejsca w jego restauracyi. A tłómaczył się w ten sposób:

„Nie mogę odstąpić od swych zasad ze względu na zapatrywania moich gości. Mój interes byłby narażony na upadek, gdybym się nie zastosował do nich. Raz zrobiwszy wyłom w zasadzie, musiałbym wszystkim samotnym kobietom dać wstęp do mego lokalu. Przepraszam bardzo, jest mi bardzo przykro, ale...

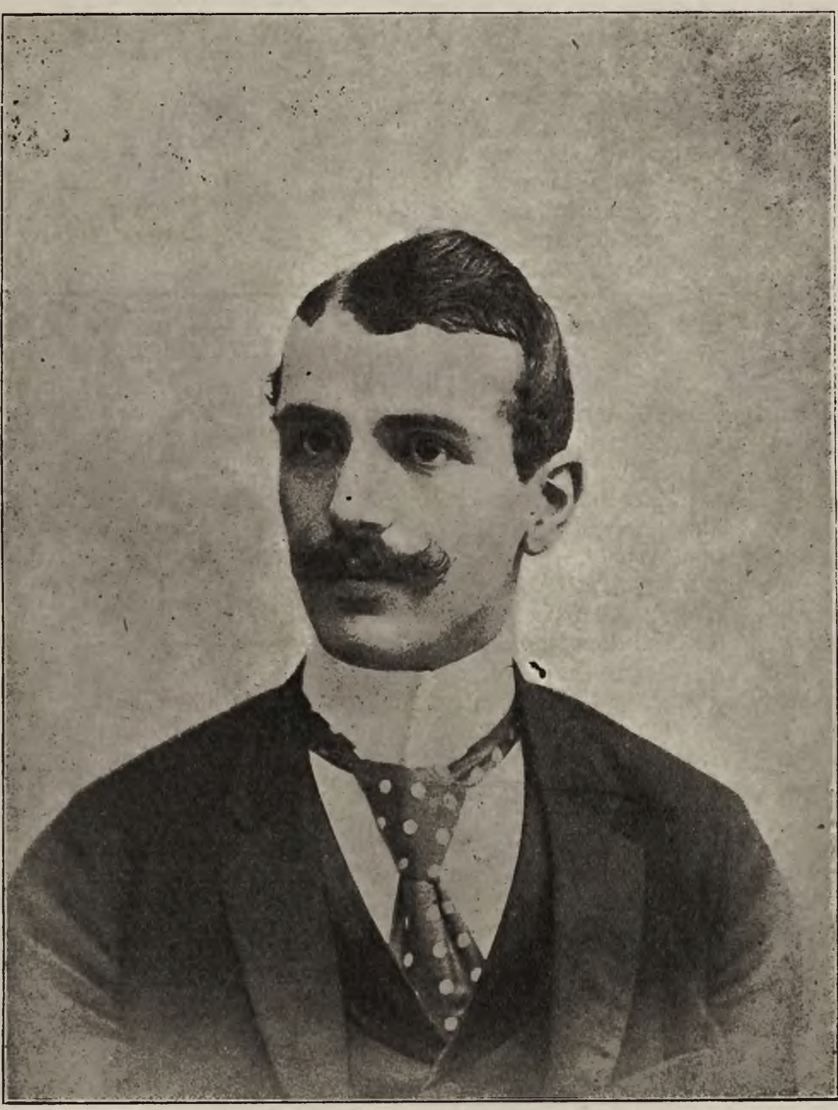
Nie pomogło i to, że pani Kempe zwróciła uwagę właścicielowi, iż ma do czynienia z ministrową – pozostał on nieubłagany, a obie panie musiały jak niepyszne wyjść z restauracyi odprowadzone wzrokiem i żartami obecnych. Pracowały przytem języki, a najwięcej... języczki.

I stało się to w mieście, gdzie się odbywał międzynarodowy zjazd kobiet, żądających równouprawnienia.

Józef Śliwiński.

W dobie nadzwyczajnych, niemal nieprawdopodobnych wymagań na punkcie techniki, trzeba potężnej i odrębnej indywidualności, aby wśród olbrzymiej ilości wykształconych pianistów zyskać bodaj jaki taki rozgłos, wziętość a w końcu i sławę. Artysta, którego występ obudził tak wielkie zainteresowanie — Józef Śliwiński — zdobył sobie wyjątkowe stanowisko wśród plejady zarówno swojskich jak i obcych pianistów — olbrzymim zasobem zdolności wspartych błyskotliwem i wyjątkowem opanowaniem techniki — odrębną indywidualnością, a poza tem specyalnie jemu tylko właściwem opanowaniem duchowem utworów, które rozmarza dusze poetyczne, zdumiewa trzeźwiej słuchających dyletantów, a każe się podziwiać muzykom zawodowym.

Śliwiński, trzydziestokilkuletni sympatyczny mężczyzna, jest synem muzyka śp. Jana, profesora gry organowej i fortepianowej w warszawskiem konserwatoryum, u którego pobierał, jako nieletnie chłopię — początków gry fortepianowej. Po studyach głębszych w konserwatoryum warszawskiem pracował za granicą — gdzie też rozpoczął karyerę wirtuozowską. Śliwiński gra nietylko w Polsce, przyjmowany entuzyastycznie przez zasłuchane rzesze melomanów — lecz zbiera laury i tryumfy w całej Europie. Wiedeń, Drezno, Berlin, Paryż, w końcu Londyn, gdzie na dłuższy czas osiada — oto etapy jego świetnej karyery wirtuozowskiej, wśród której odwiedza czasami Polskę, grając we Lwowie, Krakowie, Warszawie, Wilnie, Łodzi itd. W Petersburgu przyjmuje Śliwińskiego publiczność zawsze owacyjnie i entuzyastycznie, czem zachęcony artysta osiada tamże, lecz wkrótce zatęskniwszy za większym ruchem artystycznym, pulsującym silnem tętnem i rozlewającym się wartkim i szerokim strumieniem na zachodzie, wraca napowrót do Paryża i gra następnie w całej Europie i za oceanem.



Józef Śliwiński.

Nostalgia, będąca zawsze następstwem koczowniczego żywota wirtuoza-artysty, przytrzymała go obecnie w Warszawie, gdzie uproszony przez grono elity muzycznej rozpoczął Śliwiński prelekcye z zakresu wyższej gry fortepianowej w tamtejszej filharmonii, która pełna uprzejmości dla niepospolitego artysty ustąpiła na ten cel swej sali kameralnej. Czy jednak orli pęd *ad astra* — nie wyrwie go z pod rodzinnej strzechy, na szerszą arenę sztuki i nie każe mu znowu grać i dać się podziwiać Europie — przewidzieć trudno.

Znakomitego artystę podziwiał onegdaj Lwów muzykalny — dziś słuchać go będziemy w Krakowie, dzięki zapobiegliwości Tow. muzycznego, które tegoroczny sezon muzyczny recitalem Śliwińskiego otwiera.

b. ursa.

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

3 Ciąg dalszy.

— O?! a czy wolno zapytać dlaczego?...

— Owszem, pytaj pan! Odpowiem całkiem otwarcie! Gdy zawezwę tu policyę i oddam pana pod jej opiekuńcze skrzydła, dostaniesz z pewnością kilka ładnych latek więzienia. Od tej nieprzyjemności mogę pana uchronić — to prawda, ale nie mam obowiązku uczynić to za darmo, dla pięknych oczu pańskich. Nawzajem będę wymagać i ja pewnej usługi od pana. Krótko i węzłowato: odejdziesz pan stąd tylko wówczas wolny i bez żadnych przeszkód, jeśli przyjmiesz i spełnisz warunek, jaki ci postawię!...

Jakieś nie bardzo miłe uczucie owładnęło mną w tej chwili.

— I cóż to za warunek chce mi pan postawić? — spytałem niespokojnie.

— Ach! o tem dowiesz się pan później! Na razie musisz mi tylko odpowiedzieć, czy w ogólności zgadzasz się na to, co teraz powiedziałem, czy nie?...

— No dobrze! ale jeśli pańskie żądanie byłoby ponad moje siły?

— Nie będzie ono wcale przechodzić sił, zwłaszcza sił pańskich! — odrzekł spokojnie starzec, kładąc szczególnie silny nacisk na tych słowach — zresztą nie jesteś pan pierwszy, który w ten sposób dostał się do mego domu. Już kilku pańskich kolegów po fachu zakradło się do tej willi, myśląc, że jest ona zupełnie opuszczona i wszyscy prawie obrali sobie tę samą, co i pan drogę i wszyscy po zażyciu tej smacznej tabaczki... prawda, że to doskonała tabaczka?... zapadli odrazu w sen narkotyczny...

Słuchałem tego człowieka i jakiś dziwny niepokój zaczął mnie ogarniać.

Przypomniałem sobie moje wczorajsze poszukiwania i to straszliwe odkrycie, jakie zrobiłem. W tej chwili przemknęła mi myśl przez głowę, że jestem w ręku rafinowanego mordercy, który w tak dowcipny sposób zwabia swoje ofiary i dokonawszy na nich śmiertelnych naukowych eksperymentów, grzebie ich ciała w skrzyniach wypełnionych wapnem, lub w szklannych słojach...

Postanowiłem dać mu do zrozumienia, że wiem choć coś nie coś o jego zbrodniczej działalności.

— Hm! — rzekłem sarkastycznie — więc pan utrzymuje, że żądanie pańskie nie będzie ponad moje siły, ale widocznie dla tych dwóch trupów, tak ładnie ukrytych w pańskiej bibliotece, było ono przecie za ciężkie!...

Starzec utkwił we mnie swój wzrok i rozśmiał się chłodno.

— Ach! więc pan i to widział?!... no, no, pokazuje się, żeś pan dokładnie szukał za zdobyczą! Taką systematyczność lubię nawet u złodzieja!...

— Skoro tak — rzekłem, nabierając odwagi — to pozwólże mi pan odejść teraz spokojnie i nie stawiaj mi naturalnie żadnych żądań. Gdybyś pan bowiem mnie oddał w ręce policyi, musiałbym powiedzieć, co tu widziałem, a zdaje mi się, że morderca dostałby większą karę, niż złodziej!...

— W każdym jednak wypadku — odparł z naciskiem starzec — panu by to nic a nic nie pomogło, bo nie uchroniłoby cię przed karą. Ale to głupstwo! Ja jestem lekarzem, a jako lekarz mogę do moich anatomicznych studyów posiadać takie preparaty, które można nabywać w rządowych prosektoryach!...

Czułem, że starzec kłamał jak najbezczelniej, ale cóż miałem mu odpowiedzieć? Co do mego położenia, to nie mylił się bynajmniej. Choćbym Bóg wie jakiego mordercę wydał w ręce sprawiedliwości, to sam za włamanie się byłbym także otrzymał należną karę.

Co robić?!...

Zamyśliłem się głęboko. Mój przeciwnik nie wyglądał na takiego, któryby mordował podstępem i niespodzianie. Mógł to zresztą, gdyby był chciał, wtedy uczynić, gdy byłem w stanie narkozy. Gdy zechce mnie mordować wprost, będę się mógł bronić, a zresztą może trafi mi się sposobność ucieczki lub ubezwładnienia tego starca...

— No i cóż? namyśliłeś się pan? — zapytał mnie nagle starzec.

— Ha! niech się dzieje, co chce! Spróbuję!...

— W takim razie wstań i chodź ze mną!...

IV.

Starzec podniósł się z fotelu i otworzywszy drzwi od pokoju, wszedł na wązki korytarzyk, z którego prowadziły kręte schody ku górze.

Postępowałem za nim krok w krok i rozmyślałem. A więc starzec powiedział prawdę. Tabaczka, która mi tak smakowała, była narkotykiem; fotel, na którym usnąłem, był windą. W ten sposób dostałem się do suteren w pułapkę, z której dopiero obietnica spełnienia jakiegoś tajemniczego żądania zdołała mnie wyratować.

Starzec raźno kroczył po schodach przedemną.

— Ach! a gdyby tak teraz rzucić się nań, powalić o ziemię i...

Ale dziwny ten człowiek, nie patrząc nawet na mnie, zgadł moje myśli.

Szybko obrócił się ku mnie i spoglądając w me oczy pytającym wzrokiem, przyłożył mi do piersi rewolwer.

Uśmiechnąłem się, a jego twarz na widok mego uśmiechu przybrała znów obojętny wyraz.

Gdy wreszcie schody się skończyły i stanęliśmy w obszernym korytarzu, nieznajomy mój władca wskazał mi dłonią szerokie, wyścielone dywanem schody, prowadzące na pierwsze piętro i rzekł rozkazująco:

— A teraz tędy! naprzód!...

Gdyśmy stanęli na piętrze, starzec zatrzymał się przed dużemi czarnemi drzwiami, ujął za wiszący przy nich na łańcuszku srebrny młoteczek i zapukał nim trzykrotnie.

Drzwi otworzyły się bez szelestu i w progu ukazała się postać olbrzymia młodego mężczyzny, ubranego w czarny strój, krojem zbliżony do fraków lokajskich.

Spojrzałem na niego i zrobiło mi się gorzej nieswojo, jak wówczas, gdy starzec przykładał mi rewolwer do piersi. Z tym nie chciałbym się był nigdy zmierzyć, tak muskularnie był zbudowany.

Olbrzym, dostrzegłszy nas obu, usunął się i weszliśmy do małej izdebki, będącej raczej przedpokojem, której całe umeblowanie stanowił nieduży stolik, krzesło i lampa.

— Cóż słychać Franciszku? — zapytał olbrzyma mój towarzysz — Czy on się dzisiaj także pokazał?...

Olbrzym pochylił się przed starcem w pełnym szacunku ukłonie.

— Tak jest, proszę wielmożnego pana — odrzekł z powagą. — Pokazał się!... A panienka znajduje się teraz w swym zwykłym stanie...

Biedne dziecie! — szepnął starzec i z piersi jego wyrwało się głębokie, pełne smutku westchnienie — otwórz Franciszku!...

Służący zamiast ująć za jakąś klamkę, schylił się ku ziemi i nagle odsunął ku górze żelazną roletę, na pierwszy rzut oka kompletnie podobną do zwyczajnych drzwi.

Ta tajemniczość drzwi i rozmaitych urządzeń tego domu przejmowała mnie grozą i strachem.

Zrozumiałem ostatecznie, że jestem w ręku tego starca, że może on ze mną zrobić, co mu się tylko podoba!...

C. d. n.

Jenerał Stoessel umie hartować odwagę swych podkomendnych!...

Wobec takiego stanu rzeczy i wobec wiadomości, że dżunki chińskie, wypływające z Czifu dostarczają od czasu do czasu żywności i amunicyi dla Portu Artura, mimo ścisłej blokady przystani ze strony eskadry japońskiej — trudno przewidzieć kiedy na murach tej twierdzy oblęgający ją jenerał Nogi zatknie zwycięskie sztandary,..

Na Korei. A tymczasem na Korei zaczynają czerwienić błękit nieba łuny wojenne.

Według nadchodzących stamtąd wiadomości, których głównie dostarcza miasto Genzan, Rosyanie wkroczyli już do tego kraju i w liczbie sześciuset obsadzili pograniczne miasteczko Chamheung. Zdaje się zatem, że i w Korei nasiąpi koncentracya pewnej części wojsk rosyjskich, że i tam niebawem zahuczą strzały i zabrzmią wojenne okrzyki stron walczących: „hurra!“ i „banzaj!“

Te wieści potwierdza także inny fakt nie mniejszej doniosłości, jak wkroczenie Rosyan i zajęcie Chamheungu.

Oto jenerał japoński Hasegawa desygnowany przez Mikada zaraz z początku wojny jako ewentualny gubernator Mandżuryi został wysłany w ostatnich czasach do Korei, gdzie objąć ma komendę nad armią cesarza koreańskiego, który obecnie związał się ściśle z Japończykami i spełnia wszystkie rozkazy tokijskiego władcy.

Rola, jaką otrzymał jenerał Hasegawa jest nader niewdzięczną. bo wojsko koreańskie nie grzeszy ani zbytkiem odwagi, ani skromnem nawet wykształceniem fachowem. Nowy wódz niemało będzie musiał sobie zadać pracy, aby z takiego materyału wyrobić bitnych i dzielnych żołnierzy, mogących stawić czoło wojskom rosyjskim.

Ale cierpliwość i praca Japończyków są przysłowiowe. Może więc te dwie cnoty uwieńczą pomyślnym skutkiem zadanie, jakie jenerał Hasegawa przyjął na swe barki.

Nowy dowódzca. Wśród wojskowych sfer rosyjskich niemałe zainteresowanie wywołał fakt, że car w porozumieniu z petersburskim sztabem generalnym wysłał na plac boju jenerała Grippenberga. mianując go główno-komenderującym drugiej armii mandżurskiej.

Stanowisko to równoważące się ze stanowiskiem jenerała Kuropatkina pozwalałoby właściwie jenerałowi Grippenbergowi na samoistne działanie, do którego jest on wszechstronnie uzdolniony, ale cóż? Przy mianowaniu zaznaczył car, że jenerał Grippenberg musi podlegać rozkazom głównego wodza.

Otóż obecnie wszyscy z natężeniem oczekują, jak nowo mianowany dowódzca pojmie ten rozkaz i jakie właściwie spadnie nań zadanie.

Jenerał Oskar Ferdynand Kazimirowicz Grippenberg pierwsze laury zdobył sobie wraz z krzyżem św. Jerzego podczas wojny tureckiej, a następnie dłuższy czas był komendantem liniowych wojsk rosyjskich w Turkestanie. W sferach wojskowych uważają go za dzielnego organizatora, odznaczającego się rozległemi wiadomościami strategicznemi.

Nowy dowódzca drugiej armii mandżurskiej odjechał już na plac boju.

Niektórzy domyślają się w nim następcy jenerała Kuropatkina, ale to są tylko domysły, pewnością zaś jest, że obecnie przynajmniej został pod władzę jenerała Kuropatkina podporządkowany.

Sąd wojenny. Od tej chwili, w której na dalekim Wschodzie Rosyanie i Japończycy stanęli naprzeciw siebie oko w oko, sąd wojenny po raz pierwszy rozstrząsał sprawę wyższego oficera, którego niedołęstwo było przyczyną kompletnej klęski, i który nie spełnił danych sobie rozkazów...

Przed sądem wojennym, jaki pod przewodnictwem jenerała Stoessla zebrał się w twierdzy port-arturskiej, stanął admirał książę Uchtomskij, oskarżony o to, że gdy flota port-arturska pod komendą admirała Withefta otrzymała rozkaz bądź co bądź przerwać blokadę japońską i połączyć się z flotą władywostocką, a zaraz w pierwszem spotkaniu admirał Witheft zginął od pocisku japońskiego na „Cezarewiczu“ i komenda eskadry przeszła na admirała Uchtomskiego, on zamiast wykonać rozkaz i przebić się przez linię okrętów japońskich, dał hasło do odwrotu i pierwszy cofnął się do Portu Artura.

Admirał Uchtomskij uratował może swe życie, ale nie zdołał ocalić się od hańby.

Sąd wojenny złożony z najstarszych oficerów marynarki po dokładnem zbadaniu sprawy, wysłuchawszy obrony admirała Uchtomskiego uznał go winnym i wyrzekł zdanie, że admirał nie jest zdolny do dowodzenia eskadrą. To chyba dosyć!...

Wyrok jednak, jaki zapadł w tej przykrej sprawie, był bardzo łagodny. Admirała Uchtomskiego usunięto raz na zawsze od dowództwa, a komendę nad flotą powierzył sąd kapitanowi Wierenowi, który objął ją zaraz po wytoczeniu śledztwa księciu Uchtomskiemu.

Kapitan Wieren uchodzi wśród marynarzy rosyjskich za jednego z najzdolniejszych i najbardziej zdeterminowanych oficerów.

Car i wicekról Aleksiejew ten wyrok sądu wojennego w zupełności potwierdzili.

Taki był finał klęski floty rosyjskiej pod Portem Artura.

Kuropatkin w Mukdenie. Chiński gubernator Mukdenu, noszący tytuł Dzang-Dzounga, czyli tłumacząc ten cudnie brzmiący wyraz na język polski, marszałek tatarski, na przyjęcie jenerała Kuropatkina wystąpił z całą okazałością i przyjmował go jak udzielnego władcę.

W towarzystwie całego swego dworu oprowadzał on rosyjskiego wodza po Mukdenie, pokazując mu wszystkie osobliwości miasta i groby cesarskie.

Tu właśnie, korzystając z chwili, poparł prośbę rządu chińskiego, aby strony walczące nie wszczynały boju pod Mukdenem i oszczędzały grobów zmarłych władców państwa żółtego smoka.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Kapitan Wieren, obecnie admirał-komendant floty portarturskiej.

Aby Czytelnicy nasi mogli sobie o zewnętrznym wyglądzie dygnitarzy chińskich i o ich orszaku wyrobić choć jakie takie wyobrażenie, podajemy dwie illustracye, z których jedna przedstawia dygnitarza Dzang-Dzounga, jadącego ze swą honorową eskortą na spotkanie jenerała Kuropatkina, a druga chwilę, w której ten zacny dygnitarz zasypuje rosyjskiego wodza tysiącem chińskich komplementów.

Do humorysty.

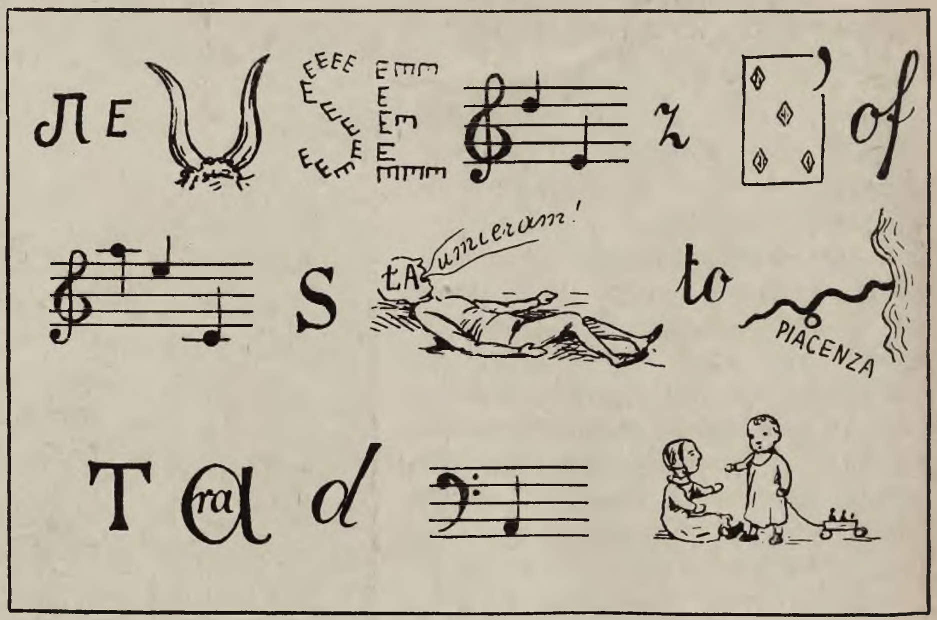
W błazeńską zadzwoń czapeczkę,
Do ręki pióro chwyć gęsie
I skoczną zanuć piosneczkę.
Niech naród z śmiechu się trzęsie...

Choć smutek serce przenika,
Choć w oczach łzy ci się kręcą,
Dosiadaj swego konika:
Pisz piosnkę śmieszną, dziecięcą...

Zgryzoty, troski i bole
W swej duszy pogrzeb gdzieś na dnie,
Pajaca dalej graj rolę,
Niech naród z śmiechu się kładnie!

A za to pewnie i tobie
Zapłacą zwykłą jałmużną,
Pisząc, gdy legniesz już w grobie,
Żeś żył biedaku — napróżno!... *Sfinks.*

REBUS.



SZARADY.

1.

Jeżeli gospodarka twa ma być coś warta,
Gdy masz dobra, rządź bracie dobrze *pierwsza czwarta;*
Wtenczas, gdy ci starości Bóg dożyć pozwoli,
Na *trzecia pierwsza* ciszy użyjesz do woli.
Chyba — że sprzedać pragniesz twój majątek cały,
Bądź w *piąta pierwsza* słusznej zawsze silnie stały!
I patrz, by ten, kto *druga pierwsza* się pojawi,
Miał gotówkę. — A *całość?* O! państwo łaskawi!
Takiego, co nie odgadł, ja pewno nie złapię:
Bo *całość* odszukacie na Galicyi mapie.

2.

Pierwsza, druga i trzecia,
Lecz każda z osobna,
To litery! — nie zgadnąć
Zatem niepodobna...
Z *piąta czwarta* wyziera
Chytry lis Mykita,
Gdy widzi, że psa niema,
Co za kudły chwyta...
Szósta piąta wołają
Narodni Rusini,
Gdy kto w ich myśl coś mówi,
Lub w ich myśl coś czyni.
Całość — miasto; odgadnąć
Je nie wielka sztuka!
Niech łaskawy czytelnik
W Rosyi go poszuka.

3.

Druga wspak to zaimek; *pierwsza trzecia* trunek;
Całość — rzeźbiarz. — Odgadnąć nie wielki frasunek.

Za rozwiązanie rebusa i szarad przeznacza redakcya trzy nagrody:
1) *Wacława Gąsiorowskiego: „Pani Walewska“.*
2) *Gabryeli Zapolskiej: „Jak tęcza“.*
3) *Artura Schnitzlera: „Taniec miłości i życia“.*

Rozwiązania z Nru 1:

Łamigłówka geograficzna:

Kalifornia
Radziszów
Aderno
Jsel
Ojaca
Wisent
Albacette
Wagram
Yninepa
Sokołów
Tortona

Rebus:

Zapraszamy do przedpłaty na Nowości illustrowane.

Szarada:

Polityka.

Litery początkowe z góry i końcowe z dołu tworzą: *Krajowa wystawa metalowa.*

Dobre rozwiązanie nadesłał pan Rubinger Włodzimierz z Janowa, którego upraszamy o przysłanie 50 halerzy na porto należnej mu nagrody.

Rozwiązania z Nru 2:

Łamigłówka kryształowa:

L
tur
Padwa
Krawiec
Krasiński
Bełcikowski
Deotyma Hajota
Ludwika Koburska
Edward Odyniec
Dziembowski
Gratulant
Dworzec
deska
akt
a

Rebus:

Sparaliżowany kaleka godna to politowania istota.

Szarada:

Kuropatkin.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. Mika, Prochaska i Dembiński, których upraszamy o przysłanie 50 halerzy na porta należnych im nagród.

Zwracamy uwagę Szan. Prenumeratorów, że zagadki trzeba rozwiązać wszystkie i to szczegółowo — jak n. p. w łamigłówkach z wypisaniem wszystkich pojedynczych znaczeń; można się bowiem z kilku słów odgadniętych domyśleć całości, a w środku łamigłówki nie rozumieć wyrazów...

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie r. 1901.

W. SZNAJDROWICZ

KUŚNIERZ

w Krakowie, Rynek Linia A-B Nr. 45, I. piętro

nad apteką pod „Białym Orłem“.

Poleca Szan. P. T. Publiczności swój obficie i jedynie w towary doborowe zaopatrzony skład, jako to:

Futra damskie, **Saka**. **Rotundy, Żakiety, Peleryny, Boa i Garnitury. Futra** męskie spacerowe i podróżne. **Czapki** futrzane i uniformowe oraz wszelkie przybory w zakres ten wchodzące. **Serdaczki, Kożuszki** damskie, męskie i dziecinne. Oryginalne Zakopańskie Gunki damskie i dziecinne, Ułanki, Krynicznki, Węgierki i Sukmanki Kościuszkowskie. Karazye, Czapki i Paski krakowskie, Gunki i Kapelusze góralskie — wszystko wyrobu własnego po cenach konkurencyjnie przystępnych.

Zamówienia i reperacye uskutecznia w jak najkrótszym czasie.

BIELIZNĘ MĘSKĄ

ze s[illegible]ną marka [illegible]wa

W WIELKIM WYBORZE POLECA MAGAZYN

A. Skórczewskiego i Polakiewicza

w Krakowie, ul. Floryańska l. 13.

Koszule białe gładkie złr. 1·25, 1·60, 2·— i 2·30
Koszule białe w plisy „ 2·— i 2·50
Koszule białe miękkie „ 1·60, 2·—, 2·50 i 2·80
Koszule kolorowe „ 1·75, 2·—, 2·30, 2·50, 2·75 i 3·50
Koszule dla turystów „ 1·25, 2·—, 2·50 i 3·50
Koszule nocne „ 1·85, 2·— i 2·20
Koszulki dla cyklistów (Sweaters) złr. 1·—, 1·50 do 5·50
Kalesony złr. 1·25, 1·50 i 2·—.

Wielki wybór kołnierzy, mankietów, skarpetek, pończoch, ręczników, chustek do nosa batystowych i płóciennych i t. p.

Zapasy wielkie. — Ceny niskie, stałe.

Teatr Czarodzieja



Ben-Ali-Bej

jeszcze tylko czas krótki

Rynek główny

naprzeciw Ratusza L. 21.

Codziennie Przedstawienia

o godz. **3**, **5**, **7** i **8½** wieczorem. — Program 5 ct.

Porębski & Zimler

w Krakowie Rynek L. 8

Magazyn towarów drobiazgowych

i przyborów do krawieczyzny

polecają

Nowości

w tych działach na sezon jesienny i zimowy.

Nauczyciel tańców

ADOLF PION

Kraków, ulica Floryańska l. 43, I. piętro.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ i HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Dwa razy dziennie świeże wędliny!

WINCENTY SATALECKI

FABRYKA PAROWA WYROBÓW MASARSKICH

w Krakowie, ul. Floryańska l. 18

Telefon 453.

Filia w Wiedniu, V. Schönbrunnerstrasse 27. Telefon 2333.

Poleca Szanownej P. T. Publiczności:

Szynki pragskie i pasztety, kiełbasy krajane, polędwicowe, siekane i paryskie, rolady, polędwice pieczone i łososiowe, salcesony w rozmaitych gatunkach, ozory wędzone, surowe i gotowane, kiełbaski, serdelki, kiszki w trzech gatunkach i t. p.

Cenniki na żądanie. — Przesyłki uskutecznia się odwrotnie za pobraniem pocztowem lub kolejowem.

Dwa razy dziennie świeże wędliny!

KANTOR WYMIANY

FILII C. K. UPRZYW. GALIC. AKCYJNEGO

BANKU HIPOTECZNEGO

w Krakowie, Rynek główny L. 42, Linia A-B

kupuje i sprzedaje pod najkorzystniejszymi warunkami wszelkie **papiery wartościowe**, banknoty zagraniczne i monety, wydaje **przekazy** na wszelkie większe miasta zagraniczne.

Wypłata wszelkich kuponów i wylosowanych efektów. Zlecenia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą bez doliczenia prowizyi.

Filia c. k. uprz. gal. akc. Banku hipotecz.

wydaje

ASYGNATY KASOWE

oraz przyjmuje **wkładki** do oprocentowania w rachunku bieżącym, wydaje w tym celu książeczki wkładkowe.

Filia c. k. Banku hipotecznego przyjmuje depozyta wartościowe do przechowania, udziela zaliczki na papiery wartościowe i uskutecznia zlecenia na zakupno lub sprzedaż efektów na wszystkich giełdach krajowych i zagranicznych.

P. T.

Mam zaszczyt zawiadomić, iż od dnia 15 Października br. począwszy, odstępuję swój lokal na I-szym piętrze

bezpłatnie

na wszelkie zebrania towarzyskie, familijne, jak również na uczty weselne ciche (bez tańców).

Pokoje jasno oświetlone i opalone. Fortepian do dyspozycyi P. T. Gości.

Również w lokalach restauracyjnych na parterze odbędzie się od 15go października b. r.

codziennie Koncert

kwartetu salonowego.

Z poważaniem

Gustaw Goldstein

ul. Karmelicka 4.

Wkrótce opuści prasę

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1905

Cena 1 Korona.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka i Ski w Krakowie, ul. Zielona 7